

## RECENZJE

Jelena Wiktorowna Jakowlewa, *Polsza protiv SSSR 1939–1950*, Moskwa 2007, Izdatielskij dom „Wieczie”, ss. 412 (bibliografia)

Recenzować należy na łamach fachowych periodyków książki dobre, by tym samym nagłaśnić je, sprzyjać ich szerokiemu wprowadzeniu do obiegu naukowego. Recenzować trzeba książki źle merytorycznie, ułomne warsztatowo, by zapobiec ich cyrkulacji w tymże obiegu. Pomijać wypada książki poprawne, ale nijakie, niewiele wnoszące do stanu badań. Nie umiem jednak odpowiedzieć na pytanie: co robić z książkami pisanymi z założoną tezą, z nieukrywaną nienawiścią do innej narodowości, rasy czy państwa? Nie umiem, ale jednak zdecydowałem się zaprezentować jedną z tego typu prac. Jest ona dowodem, że polityka prezydenta Władimira Putina wobec Polski ma szersze, niż można byłoby zakładać, zaplecze społeczne. Także wsparcie usłużnych historyków, gotowych przeprowadzić dowód genetycznej antyrosyjskości narodu polskiego. Jednym z nich jest Jelena Jakowlewa — historyk, a zarazem czołowy publicysta opiniotwórczej „Rossijskoj gaziety”.

Praca Jakowlewej, która sprowokowała mnie do powyższych refleksji, a w konsekwencji do napisania niniejszej recenzji, ukazała się w serii pod znamionym tytułem „Impieria–RU”. Całe to przedsięwzięcie edytorskie godne jest baczniejszej uwagi, stanowi zapewne element wsparcia, ożywienia odpowiednich resentymentów ułatwiających społeczną aprobatę dla konsekwentnie realizowanej polityki neoimperialnej — powrotu Rosji na zaprzepaszczonej wraz z rozpadem Związku Sowieckiego pozycję wiodącego mocarstwa światowego.

Wracając jednak do pracy Jakowlewej. Narracja tej obszernej publikacji, traktującej o stosunku Polski (Polaków) do ZSRR (Rosji) bynajmniej nie zamyka się w ramach wybitego w tytule okresu jedenastu lat. Rozciągnięta została na bez mała całe ostatnie stulecie relacji wzajemnych; a i polskie bestialstwa wobec Rosjan z początku XVII w., z okresu tzw. dymitriad, Autorka uznała za stosowne uwzględnić. Trudno jej nie zrozumieć; przecież tak dobrze pasują do założonej tezy.

Książka co prawda nie bazuje na archiwach, ale inne składniki jej podstawy materiałowej uznać należy za zadawalające. Autorka dobrze orientuje się w najnowszej literaturze rosyjskiej, białoruskiej, ukraińskiej, niemieckiej i anglojęzycznej, nade wszystko zaś w polskiej (także periodykach, a nawet prasie codziennej). Cytuje w wykładzie głównym wiele dokumentów, szeroko sięga do internetu. Niestety, wyczytuje stamtąd tylko to, co zgadza się z założoną tezą o polskim klinicznym antysowietyzmie (agresywnej rusofobii). Znając najnowszą literaturę polską, Jakowlewa w tych partiach tekstu, w których jest ona nieprzydatna dla jej założonych tez, całkowicie ją pomija. Np. w sprawie zwalczania przez AK partyzantki sowieckiej i terroryzowania niepolskiej ludności byłych Kresów Wschodnich opiera się głównie na Bernhardzie

Charim<sup>1</sup>, a także bynajmniej niehistoryku, lecz ogarniętym antypolską histerią literacie Stanisławie Kuniawejewie.

Cel książki, sformułowany przez Jakowlewą z publicystyczną swadą we *Wstępie*, sprowadza się do kwestii następującej: „należycie ocenić polski wkład w Zwycięstwo na Wschodzie, wykażać absurdalność pretensji zaprzyjaźnionego narodu słowiańskiego do przejechania się po naszej szyi” (s. 7).

Dwanaście rozdziałów–esejów wyodrębnionych zostało według zasadniczych, zdaniem Autorki, przejawów bądź aspektów polskiej agresji i czarnej niewdzięczności wobec Związku Sowieckiego. Taki zabieg konstrukcyjny pozwolił na sprytnie pominięcie w nich sowieckich zbrodni na narodzie polskim, wzmiankowanych jedynie pobieżnie, niejako w tle — o czym niżej. Oczywiście nie zmieściła się w ich liczbie także ta najbardziej spektakularna — Katyń, jedynie krótko, w sposób sprowadzony do polemiki wspomniany w odwołaniu o historię jako polskim przedsięwzięciem komercyjnym<sup>2</sup>.

Te kolejne, chronologicznie uporządkowane partie książki mają różną objętość — od czterech (ósma) do sześćdziesięciu ośmiu (dziewiąta) stron, ale sposób traktowania w nich o przedmiocie jest w warstwie komentarzowej (tezowej) niemal identyczny.

Podjmowanie rzeczowej polemiki z poszczególnymi tezami czy skonkludowanymi autorskim komentarzem „analizami” mija się w wypadku pracy Jakowlewaj z celem. Musiałaby w tym celu powstać nie recenzja, lecz druga praca, o podobnej objętości. Natomiast dla Czytelnika niniejszego tekstu może być interesujące skrócone przedstawienie warstwy konkluzyjnej wykładu, przynajmniej résumé w tym zakresie. Temu służą poniższe wyimki merytoryczne z kolejnych rozdziałów, swoistych odśłon polskiego antysowiectwa i czarnej niewdzięczności, poprzedzonych niekiedy kąśliwymi mottami<sup>3</sup>. Każda z nich zatytułowana jest w „nośny” sposób, będący sformułowaną niekiedy wprost, niekiedy pośrednio złośliwością, wymierzoną w Polaków bądź ustalenia polskiej historiografii.

### *Odsłona pierwsza: „idylla międzywojenna”*

W ocenie Jakowlewaj, pod zaborem rosyjskim Polacy mieli wszelkie prawa, a w guberniach zachodnich nawet większe niż pozostali poddani carscy. Mimo to Polska międzywojenna od samego swego zarania wprost ziała nienawiścią do wszystkiego, co rosyjskie, zarówno do „białych”, jak i „czerwonych”. Zaczęło to się w 1918 r. od agresywnego stosunku pierwszych rządów RP do sowieckiej Rosji, polityki będącej pochodną zawrotu głowy od niespodziewanego sukcesu — niepodległości; nie wywalczonej, ale podarowanej Polakom przez rozwój wypadków. Rosnąca jak na drożdżach Polska w niczym nie znała umiaru. W euforii niepodległości rządzącemu obozowi legionowemu zachciało się Polski „w granicach na początek chociażby z 1772 r.”, czego pierwszym etapem miała być aneksja „całej Litwy, połowy Łotwy, szeregu po-

<sup>1</sup> B. Chari, *Alltag hinter der Front. Besatzung, Kollaboration, und Widerstand in Weissrussland 1941–1944*, Düsseldorf 1998; idem, *Die polnische Heimatarmee. Geschichte und Mythos der Armia Krajowa seit dem Zweiten Weltkrieg*, München 2003; tegoż, *Sieg in der Niederlage?*, www.buergerkomitee.org/hug/h45-dateien/ciari.html

<sup>2</sup> „Właśnie taki jest obecnie w Polsce pogląd na historię, z podszewą, jak by to dziwnie nie brzmiało, wyłączenie komercyjną. Jako że robiąc z prawdziwych bohaterów przestępców, można nie tylko zniszczyć ideały, ale też — jeśli się poszczęści — dobrze się obłowić, wystawiając wyzwolicielom rachunki z wieloma zerami” — s. 7.

<sup>3</sup> Np. z Winstona Churchilla, o charakteryzującym naród polski braku rozsądku i poczucia wdzięczności (rozd. VI).

wiatów Północo–Wschodu Rosji, prawie całej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, z Wołyniem i Podolem włącznie” (s. 10).

W reakcji na „szokująco przestępcze” panoszenie się wojska polskiego na ziemiach białoruskich i ukraińskich doszło tam do wybuchu powstania. O sile antypolskiej partyzantki na tych ziemiach świadczy fakt, że utrzymała się ona nawet po zakończeniu wojny polsko–bolszewickiej, wspierana wpierrw przez białoruskich eserowców, a następnie, do połowy lat 20., przez Komintern (s. 12).

W trakcie wojny 1919–1920 władze polskie w obozach internowania, a faktycznie koncentracyjnych, zagłodziły 70 tys. jeńców czerwonooarmistów<sup>4</sup>. Sukces w wojnie 1920 r. udało się władzom polskim osiągnąć tylko dlatego, że przekupiły chłopów, tworząc Bank Rolniczy, który wykupił ziemię obszarniczą i rozdał im ją. Zaraz po wojnie na ziemiach białoruskich i ukraińskich włączone do Polski przesiedlono „300 tysięcy tak zwanych osadników, urzędników i robotników, dokonując ich kolonizacji” (s. 22)<sup>5</sup>.

Całe następne dwadzieścia lat upłynęło pod znakiem czyhania przez Warszawę na dogodny moment, by zaatakować, upokorzyć bądź w jakikolwiek inny sposób skrzywdzić pokojowo nastawione, wyciągające rękę do pojednania Sowiety.

Do polskich Białorusinów i Ukraińców napływały informacje z ZSRR, jak tam za sprawą polityki państwa rozkwita narodowa kultura i oświata, co prowadziło do powszechnego niezadowolonia, pojawienia się nawet antyrządowego podziemia zbrojnego. Oczywiście próżno w tym kontekście szukać słowa o ludobójstwie dokonanym na ukraińskiej wsi w okresie kolektywizacji, o zbrodniczej likwidacji polskich okręgów narodowościowych — Marchlewszczyzny i Dzierżyńszczyzny.

Korpus Ochrony Pogranicza powołany został nie po to, by chronić granicę, ale by zwalczać ruch partyzancki mniejszości narodowych. Jednak gdy ten ruch został zwalczony, KOP-u nie rozwiązano, lecz uczyniono zeń organ wspomagający policję w represjonowaniu tych mniejszości (s. 25).

Działalność OUN była dla władz Rzeczypospolitej korzystna, bo pod pretekstem zwalczania tej organizacji mogły represjonować całą społeczność ukraińską na zasadach zbiorowej odpowiedzialności (s. 26).

W II Rzeczypospolitej los mniejszości narodowych był straszny, a ich nienawiść do Polaków nabrzmiała do tego stopnia, że we wrześniu 1939 r. musiała eksplodować. Tereny Polski wschodniej ogarnęła fala ludowego gniewu przeciw panoszeniu się tam przez dwadzieścia lat Polaków, który najszerszą skalę przyjął w postaci tzw. powstania skidelskiego. Wojsko Polskie walczyło z tymi powstańcami, a pojmanych rozstrzeliwało (s. 29)<sup>6</sup>.

„Rząd polski i wódz naczelny, pan Rydz–Śmigły, uciekli z Warszawy zagranicę już czwarte go dnia wojny”. Spowodowało to na Kresach Wschodnich rozpad władzy, polskiej bowiem już nie było, a sowieckiej jeszcze nie utworzono. Podniosła się fala bandytyzmu, grabieży, a nawet

<sup>4</sup> Praca Jakowlewej wydana została w trzy lata po ukazaniu się nieuwzględnionego w *Bibliografii* obszernego tomu dokumentów, jednoznacznie przeczącemu podobnym interpretacjom, wcześniej dość rozpowszechnionym w Rosji — *Krasnoarmiejcy w pol'skom plenu w 1919–1922 gg. Sbornik dokumentow i materialow*, Moskwa 2004.

<sup>5</sup> Prawdziwe liczby w tej kwestii zob. J. Stobniak–Smogorzewska, *Kresowe osadnictwo wojskowe 1920–1945*, Warszawa 2003, s. 101 nn.

<sup>6</sup> O zajęciach w Skidlu, ich rzeczywistej skali i przebiegu zob. M. Wierzbicki, *Polacy i Białorusini w zaborze sowieckim. Stosunki polsko–białoruskie na ziemiach północno–wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939–1941*, Warszawa 2000, s. 77–79.

wypadków zabójstw. Trwało tak do momentu „póki organy władz sowieckich i NKWD nie wypełniły administracyjnego vacuum, powstałego wraz z rozpadem poprzedniego systemu”. Wejście Armii Czerwonej nie napotkało na żadne przeszkody<sup>7</sup>. Któż by mógł pomyśleć, że „polscy militaryści i politycy, którzy głośno trzaskali kaburami i pomachiwali szabelką, tak szybcieutko rozbiegną się przed bolszewikami, niczym szczury” (s. 30–31).

W momencie wkroczenia 17 września 1939 r. na polskie terytorium państwowe Armii Czerwonej „oddziały [Wojska Polskiego] walczące na terytorium Kresów Wschodnich przeciwko wojskom niemieckim po prostu same się rozwiązały. Doszły do wniosku, że od tego momentu, gdy państwo polskie przestało istnieć, złożona mu przysięga już do niczego ich nie zobowiązuje” (s. 28). Wejście Armii Czerwonej uspokoiło sytuację, wywołało powszechny entuzjazm, który m.in. przejawiał się w wyniku wyborów do Zgromadzeń Ustawodawczych, a w ich konsekwencji — w akcesie do ZSRR.

### *Odłona druga: Polacy bez Polski; i co dalej?*

Autorka stawia pytanie: „Czy w wyniku akcji z 17 września 1939 r. ZSRR cokolwiek zabrał, co byłoby polskie”? I odpowiada: nie, rewindykował tylko to, co mu się bezspornie należało, a nadto „zadbał o małeńką, bezbronną Litwę, darowując jej stolicę” (s. 33). Zauważa, że przejęcie tych ziem obrosło mitologią, np. o bezprawnym jakoby ich włączeniu do białoruskiej i ukraińskiej republiki związkowej. Stalin miał siłę, mógł przecież zadekretować, co chciał, a jednak zdecydował się na ryzyko wyborów. Czy zaś były one do końca czyste, nie pytać o to Polakom. Przecież to od nich nauczył się organizowania tego typu referendów, np. od gen. Lucjana Żeligowskiego na tzw. Litwie Środkowej, czy Komisariatu Polskiego, który niezadowolony z wyników swobodnie wyrażonej woli społeczeństwa, sprowokował drugie powstanie śląskie.

Innym — zdaniem Jakowlewej — mitem jest przekonanie o jakoby masowym sprzeciwie Polaków przeciwko aneksji Kresów Wschodnich. Nieliczne przejawy takiego rzeczywistego sprzeciwu NKWD skutecznie tłumilo, m.in. dlatego, że Polacy nie docenili jego skuteczności. NKWD działało przy tym w sposób znacznie łagodniejszy niż Niemcy w stosunku do podziemia w Generalnym Gubernatorstwie. Poprzestano na wywiezieniu w głąb ZSRR przywódców. Tak więc pozbawione przywódców zmitologizowane polskie podziemie „nie mogło realizować żadnych poważniejszych zadań” (s. 52), a tzw. polska walka o niepodległość była nie partyzantką, lecz incydentalnymi działaniami dywersyjno–bandyckimi (s. 57).

Kolejny mit to jakoby dynamiczny rozwój polskiego podziemia zbrojnego na ziemiach anektowanych przez Związek Sowiecki. Zdaniem Jakowlewej, było odwrotnie. Obawiając się o ich los, jeszcze przed wojną Polacy faktycznie swego czasu rozbudowali na nich liczną sieć tajnych organizacji, nawet harcerskich, ale niewiele z tego później, już po wybuchu wojny, wynikało. Ilustruje to spektakularnym, w jej ocenie, przykładem: prawda o jakoby silnym zgrupowaniu nad Biebrzą jest taka, iż NKWD pozwalało tym polskim „partyzantom” siedzieć w tamtejszych błotach, póki nie zamarzyły. Wówczas natychmiast wszystko zostało skończone (s. 54)<sup>8</sup>.

<sup>7</sup> W obszernej *Bibliografii* nie występuje ani praca Ryszarda Szawłowskiego (*Wojna polsko–sowiecka 1939. Tło polityczne, prawnomiędzynarodowe i psychologiczne. Agresja sowiecka i polska obrona. Sowieckie zbrodnie wojenne i przeciw ludzkości oraz zbrodnie ukraińskie*, t. 1, Warszawa 1996), ani Czesława Grzelaka (*Kresy w czerwienu. Agresja Związku Sowieckiego na Polskę w 1939 roku*, Warszawa 2001).

<sup>8</sup> Na temat rzeczywistego zakresu partyzantki w rejonie nadbiebrzańskim zob. T. Strzembosz, *Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939–VI 1941*, Warszawa 2004.

Już w tej części, wbrew chronologii, zjawia się wątek Jedwabnego. Będzie wielokrotnie przewijał się w dalszych partiach książki, nieodmiennie w podobny sposób: „[Polacy] zabili co do jednego swych sąsiadów Żydów z Jedwabnego za to, że jakoby wszyscy oni pracowali dla NKWD. Można powiedzieć, realizowali z własnej inicjatywy ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego w oddzielnie wziętej miejscowości, prześcigając w tym względzie nawet tych od Himmlera, którzy [wówczas dopiero] niewinnie zabawiali się obozami koncentracyjnymi” (s. 61). Jej zdaniem, prawda o polskiej zbrodni w Jedwabnem wyszła na jaw tylko przypadkowo, bo „znalazła się jedna nie dość patriotyczna Polka, która ukryła u siebie niedobitki Żydów” (s. 116).

Na marginesie pojawia się tu wątek deportacji, włączony m.in. jako pretekst do wyszydzenia szacowanego w Polsce ich zakresu — „miliony (...) Gdyby im pozwolić, to naliczyliby i setki milionów”. Autorka zdaje się tego typu masowe zbrodnie usprawiedliwiać, z namaszczeniem cytując dokumenty stwierdzające, że „biedna ludność, szczególnie ukraińska, pozytywnie odnosi[ła] się do prowadzonych operacji [deportacyjnych]”. Stara się zarazem relatywizować kwestię deportacji, stwierdzając: „praktycznie wszystkie zamieszkujące ZSRR narody, w ich liczbie i Rosjanie, same doświadczyły ich dostatecznie” (s. 72–73). Podsumowuje te wywody stwierdzeniem, że żadne, nawet najbardziej demokratyczne państwo nie będzie tolerować działalności w nie godzącej. I cóż to za represje, dodaje — to, że Polaków zmuszano do mówienia „jewriem” zamiast brzmiącego po rosyjsku obraźliwie „żyd”? I tyle o tzw. pierwszej okupacji („za pierwszego Sowietów”).

### *Odsłona trzecia: konflikt sowiecko–niemiecki a polscy „prawdziwi patrioci”*

Jakowlewa zaczyna od tego, że dokonana przez gen. Stefana Roweckiego ocenę wojny sowiecko–niemieckiej jako szansy na osłabienie obu niebezpiecznych dla Polski sąsiadów uznaje za przykład cynizmu politycznego, odsłonięcie prawdziwego oblicza „zdradzieckiego sojusznika”. Naiwny Związek Sowiecki myślał, że w warunkach wspólnego nieszczęścia znajdzie w Polakach sojusznika, a ci potraktowali napaść Wehrmachtu na ZSRR jako spełnienie marzeń. Władze sowieckie w geście dobrej woli zwolniły z łagrów 390 tys. obywateli polskich<sup>9</sup>, potraktowały ich jak sojuszników, nawet — mimo trudnej sytuacji wewnętrznej — „wypozażyły we wszystko, co niezbędne”, wypłacili im jednorazowe zasiłki pieniężne. Tymczasem „tak naprawdę [Polacy] to byli [nadal] ich aktywni wrogowie” (s. 75). W tym kontekście w ogóle nie przychodzi Autorce do głowy postawić kwestię, jak to się stało, iż tak ogromna masa ludzi znalazła się w systemie łagrów i w strasznych warunkach świadczyła wiele miesięcy pracę przymusową.

Obrażliwie krytykując „grymasnego” gen. Władysława Andersa, iż nie zgodził się skierować na front pierwszej, w miarę całkowicie skompletowanej dywizji, jako jedyny argument przytacza jego antysowietyzm i niechęć do walki. Uznaje wyprowadzenie Armii Polskiej do Iranu za posunięcie w sumie satysfakcjonujące („zadowolilo wszystkich” — s. 92). Z kontekstu wynika, iż armii tej bliżej było do Niemców niż Sowietów, a więc koniec końców lepiej, że nie trafiła ona na front.

Zdaniem Autorki, premier Władysław Sikorski musiał zginąć, bo taki pragmatyk nie był już potrzebny Brytyjczykom (s. 95).

<sup>9</sup> Autorka raz wspomina o 389 041 osobach objętych amnestią (s. 75), to znów o 391 545 (s. 84). Ta pierwsza liczba znajduje potwierdzenie w historiografii polskiej — por. S. Ciesielski, W. Materski, A. Paczkowski, *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*, Warszawa 2002, s. 20.

Obecnie w Polsce kultywowany jest mit Armii Krajowej jako organizacji zbrojnej, która wykazała się w walkach „szczególną ofiarnością”. Jest to, zdaniem Jakowlewej, obraz fałszywy, nie mający żadnych uzasadnień. Owszem, Armia Krajowa walczyła, ale z Żydami, Białorusinami, Ukraińcami. Autorka szydzi z ustaleń historyków polskich dotyczących wywiadu ZWZ–AK, wagi przekazywanych przezeń do Wielkiej Brytanii, a stamtąd do ZSRR informacji: „czym konkretnie zajmowały się te Jamesy Bondy, w szczegółach do tej pory nie wiadomo” (s. 97).

Szeroko pisząc o aneksji przez Sowiety ziem Polski wschodniej, Jakowlewa dochodzi do wniosku, iż dla zamieszkujących je Polaków tragedią była nie tyle utrata niepodległości, co statusu „grupy uprzywilejowanej (...), co było szokiem dla najszerszych mas polskiej ludności, niezależnie od jej statusu”. Szczególnie zrównanie jej w prawach z pogardzanymi Żydami. Jak dodaje, jest to zarazem ukryta, choć dość czytelna, zasadnicza pretensja do „okupantów sowieckich”, widoczna „w tej czy innej mierze praktycznie we wszystkich pracach historyków polskich” (s. 113).

Bardzo dziwi się Autorka, iż polska historiografia zarzuca Sowiетom prześladowanie i niszczenie polskiego podziemia. Jej zdaniem, po przejściu frontu nie było powodu „certolić się [ceremonitsa] z tymi, którzy z bronią w ręku pozostali na tyłach naszych wojsk [i] mogli być traktowani wyłącznie jako bandyci” (s. 123). Przywołując w tym kontekście wyraźnie ją irytujące poparcie współczesnego społeczeństwa polskiego dla „czeczeńskich terrorystów”, dodaje: „z punktu widzenia Polaków jest coś, co łączy czeczeńskiego bandytę i akowca z Kresów Wschodnich. Co to jest, myślę że nie ma potrzeby wyjaśniać” (s. 124).

#### *Odslona czwarta: „siedzenie i stanie” Armii Krajowej na zapleczu frontu sowiecko–niemieckiego*

W swej „nieprzejednanej” walce z okupantem faszystowskim „podziemie polskie kierowało się mądrą pacyfistyczną zasadą: im mniej będziemy niepokoić Niemców, tym mniej będziemy ofiar”. Dopiero gdy okupant rozpoczął masowe wysiedlenia „trzeba było walczyć, cóż robić. A tak było dobrze: polscy partyzanci — u siebie w lasku, gestapowcy — gdzieś tam, na froncie wschodnim. Ech, jak to wszystkim było dobrze!” (s. 127). Polskie podziemie na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej anektowanych jesienią 1939 r. przez Związek Sowiecki to — zdaniem Jakowlewej — zupełny margines, „mniej niż 1% wszystkich sił Armii Krajowej” (s. 132). Całe to podziemie było organizowane nie do walki z hitlerowcami, do czego rwali się jego szeregowi członkowie, lecz po to, by zademonstrować, że to właśnie Polacy są na tych ziemiach gospodarzem.

#### *Odslona piąta: mała wojna rosyjsko–polska, od Wileńszczyzny po Polesie*

Z działalności Armii Krajowej na terenach wschodnich Rzeczypospolitej w latach 1941–1945 Autorkę interesują nade wszystko cienie. Tropi utrwalone w przekazach pamiętnikarskich przejawy maruderstwa oddziałów AK, eksponuje fakty porozumiewania się na płaszczyźnie antysowieckiej dowódców polskiego podziemia z Niemcami, starając się możliwie detalicznie je opisać.

Na bohatera polskiego podziemia zbrojnego wyrasta Bolesław Piasecki, który — jak stwierdza — mimo swej przeszłości antysemickiej działał w sposób bardzo wyważony, rozumiejąc, że „w zaistniałych warunkach zbrojne przeciwstawianie się Sowiетom doprowadzi do niepotrzebnych ofiar”. Postawę taką doceniła nawet NKWD — w osobie Iwana Sierowa — zwalniając go później z więzienia; doceniono także w Polsce powojennej, pozwalając mu na

normalne funkcjonowanie. „Wyważonemu” bohaterowi poświęca Autorka aż cztery strony (164–167), co jest ewenementem w skali całej książki.

Momentami wspomina też Jakowlewa o akcjach zbrojnych polskiego podziemia, ale jest to margines wykładu. Eksponuje przy tym jako cechę charakterystyczną działanie bojowe żołnierzy AK w sposób sugerujący akcje sowieckiej partyzantki (przebieranie w sowieckie mundury, demonstracyjne używanie w trakcie akcji języka rosyjskiego) — tak, by represje nie spadły na ludność polską, tylko rodzimą — Rosjan i Białorusinów.

Gwoli sprawiedliwości, muszę zaznaczyć, iż mimo pisania w tak jednoznacznej konwencji, Autorka jednak stawia sobie pytanie: jak możliwa była kilkuletnia obecność polskiego podziemia na terenach, gdzie Polacy — co wcześniej wielokrotnie twierdziła — stanowili nikły procent. Nawet znajduje odpowiedź; możliwe było to dlatego, że polskie podziemie przyjmowało w swe szeregi Białorusinów renegatów. Zwątpiwszy w zwycięstwo Rzeszy, postanowili oni uciec do lasu z instytucji kolaboranckich, policji i administracji. Dzięki nim oddziały polskiego podziemia zbrojnego były w stanie funkcjonować w nieznanym im, wrogim terenie (s. 158).

Przy okazji gromi i stara się ośmieszyć znanego popularyzatora najnowszej historii Borisa Sokołowa, który jako jeden z nielicznych naukowców rosyjskich stara się pisać prawdę o polskim podziemiu zbrojnym na byłych ziemiach wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej, w szczególności tzw. Białorusi Zachodniej<sup>10</sup>. Pozwala sobie nawet na uwagę, iż Sokołow to zapewne „co najmniej honorowy pracownik polskiego Instytutu Pamięci Narodowej” (s. 151).

#### *Odsłona szósta: gdy na tzw. Białorusi Zachodniej i Wileńszczyźnie zostaje tylko jeden wróg*

Gdy front sowiecko–niemiecki zaczął zbliżać się do byłych ziem Polski wschodniej, Armia Krajową przestała interesować walka z Niemcami i niemal wyłącznie skupiła się na niszczeniu partyzantki sowieckiej i krwawym terroryzowaniu miejscowej ludności niepolskiego pochodzenia. Nawiązała w tym zakresie szeroką współpracę z Niemcami, uzyskując od nich broń i przejmując kontrolę nad szeregiem rejonów (tzw. republiki AK), co pozwalało z nich wycofać i skierować na front przeciwko Armii Czerwonej dziesiątki oddziałów Wehrmachtu i SS. Zarazem polski rząd prowadził hałaśliwą kampanię, domagając się od mocarstw zachodnich interwencji w celu przywrócenia sowiecko–polskich stosunków dyplomatycznych (o powodach zerwania których Autorka nie wspomina ani słowem). Polscy „bohaterowie podziemia”, w większości uzbrojeni w broń sekretnie przekazaną im przez Niemców, rażno walczyli tylko z lokalną policją oraz terroryzowali miejscową ludność. Pochwyconych partyzantów sowieckich bądź sprzyjających im cywilów mordowano, gdy tymczasem Niemców jedynie „obrabowywano do nitki” i puszczano wolno. Sam tylko oddział dowodzony przez mjr. Adolfa Pilcha takich niby–bolszewików wymordował od stycznia 1943 r. do kwietnia 1944 r. około sześciu tysięcy sowieckich partyzantów i cywilów nie–Polaków, mimo iż w pewnym momencie podobnych działań zabroniła mu Komenda Główna AK (s. 196). Generalnie, akowcy na byłych ziemiach północno–wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej „oczyszczali terytorium od zarazy bolszewickiej z taką gorliwością, o jakiej nie śniło się nawet hitlerowcom” (s. 195).

#### *Odsłona siódma: na „złotej Ukrainie” — Armia Krajowa przeciw UPA, UPA przeciw Armii Krajowej*

Zdaniem Jakowlewej, na Wołyniu do 1943 r. właściwie nie było żadnego polskiego podziemia, a w Galicji ujawniło się ono dopiero w przeddzień wejścia na te tereny Armii Czerwonej

<sup>10</sup> Por. B. Sokołow, *Okkupacja. Prawdy i mify*, Izd. Ast–Press Kniga, Moskwa 2002.

(s. 216). Gdy zaczęły się masowe mordy dokonywane przez UPA na ludności polskiej, jej jedynym obrońcą była partyzantka sowiecka. Dlatego mężczyźni Polacy masowo wstępowali w jej szeregi, tworząc w nich nawet narodowe pododdziały. Natomiast pomoc ze strony Komendy Głównej AK sprowadziła się do odkomenderowania „półtora dziesiątka oficerów” i obietnicy dostarczenia broni, która nie wyszła poza słowa (s. 220). Wrogów w sowieckiej partyzantce na tych terenach spostrzegli dopiero współcześni historycy polscy, ale nie ówczesna polska ludność, która znajdowała w nich jedynego obrońcę.

Autorka zdecydowanie odrzuca ustalenia historiografii polskiej i ukraińskiej, że sowieccy partyzanci umyślnie prowokowali obie strony — AK i UPA, by się wzajemnie wyniszczały, oświadczając, iż „nie ma na to przekonujących dowodów” (s. 228)<sup>11</sup>. Na podobnej „podstawie” kwestionuje też inne ustalenia historiografii polskiej i ukraińskiej: o patologicznym wręcz pijaństwie wśród sowieckich partyzantów i dokonywanych przez nich grabieżach — tak na Polakach, jak i Ukraińcach (s. 234).

#### *Odsłona ósma: Polak, gdziekolwiek by się znalazł, służy wyłącznie sprawie polskiej*

Tym „gdziekolwiek” jest tu Łotwa. W Polsce bowiem, jak stwierdza Jakowlewa, jest oczywiste, że tereny, na których kiedykolwiek znalazł się jakiś polski majątek ziemski, winny jej zostać „nieodzownie oddane” (s. 242). Dlatego tereny łotewskie, w szczególności obwód dźwiński, znalazły się w gestii operacyjnej najpierw ZWZ, a następnie „Wachlarza” — w obu wypadkach skutecznie rozgromionych przez Niemcy. Zauważa, iż część ludności polskiej Dźwińszczyzny zadeklarowała się jako Łotysze, a w konsekwencji została objęta rekrutacją do niemieckich organizacji pomocniczych, i z charakterystycznym dla siebie sarkazmem dodaje: „Kto wie, może rwali się, by w ich szeregach powojować z nienawistnymi Rosjanami?” (s. 244). Nie zastanawia się, dlaczego polskie podziemie utrzymało się na Łotwie aż do 1947 r., składając to wyłącznie na karb wsparcia Wielkiej Brytanii i „nadziei na trzecią wojnę światową”.

#### *Odsłona dziewiąta: krew złożona na ołtarzu idei londyńskich*

Tą „ideą londyńską” jest w ujęciu Jakowlewej akcja „Burza”, sprowadzona przez nią wyłącznie do rozległej dywersji antysowieckiej, bez znaczenia z punktu widzenia walki z Niemcami. Według niej całą działalnością prowadzoną w ramach „Burzy” rządziła zasada wpajana szeregowym żołnierzom polskiego podziemia: walczyć, przelewać krew, a nie myśleć; od tego są inni. „Burza” w konkluzji Autorki to akcja niepoważna, do czasu tolerowana przez Sowiety; „popartyzanili, popartyzanili — i starczy” (s. 308).

Byli jej zdaniem racjonalnie myślący Polacy (obok wspomnianego wcześniej Bolesława Piaseckiego, wymieniana gen. Stanisława Tatara i gen. Lucjana Żeligowskiego), którzy mając na względzie żywotne interesy narodu polskiego, ograniczenie jego ofiary krwi, nawoływali do ścisłej współpracy z Armią Czerwoną. Jednak „braciom z Londynu przyswiecał inny cel: uratowanie Polski od bolszewizmu za cenę dowolnych strat” — stąd właśnie akcja „Burza” (s. 258).

Przeprowadza Jakowlewa żalospną dla znawców tematu, ale trafiającą zapewne do jej przez lata odpowiednio propagandowo przygotowanych czytelników tezę, iż Związek Sowiecki zrobił wszystko, co tylko mógł, by wspomóc Powstanie Warszawskie<sup>12</sup>. A także inną, o humanitary-

<sup>11</sup> Por. w tej kwestii G. Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942–1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Warszawa 2006.

<sup>12</sup> Nie wiedzieć dlaczego, dowódca AK, od września 1944 r. dowódca naczelny PSZ, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, konsekwentnie występuje w kontekście Powstania Warszawskiego jako „Komarowski”.



zmie Sowieców, którzy młodzież z byłych terenów wschodnich II Rzeczypospolitej, odmawiającą w 1944–1945 r. poboru do Armii Czerwonej, nie represjonowali, lecz „kierowali do służby alternatywnej: prac leśnych, górnictwa itp.” (s. 313). Ironizuje przy tym, że polska młodzież bojkotowała pobór do Armii Czerwonej, a przecież tak niedawno „demonstrowała nieprawdopodobną wręcz dyscyplinę”, gdy ją Niemcy powoływali do Wehrmachtu, nie proponując żadnej alternatywnej służby (s. 328).

Dobrane do tego rozdziału jednoznaczne motto ze *Świtezii* Adama Mickiewicza podkreśla jej nieracjonalność, pusty romantyzm prowadzenia bezcelowej walki, odrzucania możliwości pogodzenia się z w sumie korzystną dla narodu polskiego — zdaniem Jakowlewej — rzeczywistością.

*Odsłona dziesiąta: walka po zwycięstwie, czyli — szakale w partyzanckim przebraniu*

Jak stwierdza Jakowlewa, ponieważ ziemie na wschód od Bugu zgodną opinią mocarstw przyznane zostały ZSRR, to wszelkie formacje polskiego podziemia działające na nich po przejściu frontu w sposób oczywisty musiały być traktowane jako bandy zbrojne. Oczywiście jest więc także, że NKWD je zwalczała i robiła to skutecznie<sup>13</sup> (s. 315–316). Zarząd NKWD do Walki z Bandytyzmem nie żartował, a więc dopiero wówczas, w 1944 r., dla AK tak naprawdę zaczęła się wojna, a nie „siedzenie czy stanie” z bronią u nogi.

Porażające jest tłumaczenie przez Jakowlewą powodów tak wielkiej liczby ofiar wśród polskiej ludności cywilnej w trakcie dokonywanych przez NKWD „operacji oczyszczania” terenu z bandytów, czyli polskiego podziemia zbrojnego. Na przykładzie jednej z takich operacji, stwierdza ona, iż akowcy bynajmniej nie bronili ludności przed sowieckimi pacyfikatorami, ale wprost przeciwnie — zaskoczeni chowali się za „kobiety, dzieci i starców”, strzelając do wojsk NKWD zza ich pleców; praktykowali to, co dziś czynią czeczeńscy terroryści. Tak więc wyłącznie z ich winy ludność cywilna padała mimowolną ofiarą walk (s. 325).

Autorka przeciwstawia polskiemu podziemiu Polaków walczących w tzw. istriebitielnych batalionach. W wykładzie głównym pod ich adresem formułuje nawet wprost podziękowania za to, że dzięki nim na zapleczu frontu można było prowadzić skuteczną walkę z UPA — bez absorbowania frontowych żołnierzy sowieckich (s. 350).

*Odsłona jedenasta: pojednanie na cmentarzach, czyli — po co było [Polakom, Litwinom i Ukraincom] ze sobą walczyć?*

Zdaniem Autorki, we współczesnej Polsce, podobnie jak na Litwie i Ukrainie, prowadzona jest polityka przewyciężania resentymentów historycznych przez sprowadzanie wszystkiego do tezy o ówczesnym wspólnym wrogu numer jeden, groźniejszym niż Niemcy — Sowieci. Na wspólnym antysowiecizmie (antyrosyjskości) budowane jest pojednanie, dość sztuczne, ale potrzebne z punktu widzenia funkcjonowania tych państw w „zjednoczonej Europie”. Szczególnie szydzi Jakowlewa z pojednania polsko-ukraińskiego i polsko-litewskiego, opartych na formule: jaka szkoda, że nie wystąpiliśmy wówczas razem; tak by się to dziś propagandowo przydało. A że padło wówczas tyle ofiar, że Wołyń spłynął krwią? — cóż, tak AK, jak i UPA walczyły przecież o sprawę ważniejszą, niepodległość swych państw. I tylko o tym „strategicznym założeniu” należy pamiętać we „wspólnej Europie”.

<sup>13</sup> Według obliczeń Jakowlewej, na anektowanych przez ZSRR ziemiach II Rzeczypospolitej w latach 1944–1947 z rąk NKWD zginęło około 17 tys. żołnierzy polskiego podziemia.

Szydzi Jakowlewa, że współcześnie Polaków, Litwinów i Ukraińców męczy nie pamięć o ofiarach tych walk ((mordów), ale pytanie: po której stronie należało wspólnie wojować? Czy AK, Litwini Plechawičiusa<sup>14</sup> i UPA przeciwko Sowiетom, a sporadycznie także przeciwko Niemcom? Czy raczej wszyscy wspólnie, niekiedy także z Niemcami, wyłącznie przeciwko Sowiетom? Dla niej odpowiedź, która wyłania się po przestudiowaniu prasy oraz historiografii polskiej, litewskiej i ukraińskiej, jest oczywista (s. 355).

*Odsłona ostatnia: historia jako przedsięwzięcie komercyjne albo — rachunek za kradzież pomidora, a przy okazji i za Zwycięstwo*

Upadek ZSRR doprowadził w Polsce do polaryzacji w spojrzeniu na historię: dobra Armia Andersa i złe ludowe Wojsko Polskie; bohaterzy z AK i sprzedajni najmicy z Armii Ludowej; cenne ofiary poniesione na Zachodzie i mało ważne na Wschodzie. Zaczęto nawet odbierać Armii Czerwonej zwycięstwo w wojnie. „Wywleka się z mogił dziedzictwo politycznego trupa, Armii Krajowej, polewa wodą życia i patrzy: trup wstał, maszeruje i wygłasza coś, co przedstawiane jest jako nowe, świeże spojrzenie na historię drugiej wojny światowej” (s. 357). Znow wyciąga się teorię o dwóch okupantach, aktualną jak nigdy przedtem. Wykrzykuje się, że prezydent Putiun obraził naród polski, nie wspominając w trakcie obchodów sześćdziesięciolecia zakończenia drugiej wojny światowej o jego wkładzie w zwycięstwo. Tymczasem, jej zdaniem, „polski prezydent rzeczywiście nie miał prawa do udziału w świętowaniu w Moskwie naszego Zwycięstwa [...] Polacy mieli swoją wojnę — bez zwycięstwa, a Rosjanie swoją — ze Zwycięstwem”; sami tak przecież twierdzą (s. 372).

Polskie media i kierownictwo polityczne żyją hasłami: „Pomścimy Katyń! Pomścimy Powstanie Warszawskie!”. Żąda się od Rosji przyznania się do „przestępstw”, licząc na polityczne dywidendy, jakby to ona przegrała, a nie wygrała wojnę. Zarazem stara się robić biznes na historii, domaga od współczesnej Rosji „pieniężnego zadośćuczynienia dla nieszczęśnych Polaków” (s. 360).

Dopiero w tym ostatnim rozdziale przywołuje Jakowlewa zbrodnię katyńską, ale przywołuje w specyficznym kontekście. W jej przekonaniu rosyjska „elita liberalno–demokratyczna” pochopnie przyjęła w tej kwestii wersję Goebbelsa z 1943 r. Uznaje, iż podnoszone kiedyś przez Alaina Decaux<sup>15</sup>, a dziś przez Jurija Muchina<sup>16</sup>, zastrzeżenia co do wiarygodności ujawnionych dowodów, jak też rzetelności przekazanych Polsce kserokopii dokumentów należy wziąć poważnie pod uwagę, bo „sprawa jest rzeczywiście niejednoznaczna [dzieło tu toczno nieczisto]” (s. 370). Sięga też do starego argumentu o użytej w mordzie katyńskim amunicji niemieckiej, szydząc: „zapewne znowu w planowej gospodarce ZSRR coś zawiodło i w momencie rozstrzelania w całym państwie wystąpił deficyt amunicji” (s. 372).

Polakom nie starczyło, że ekipa Jelcyna powiedziała w sprawie zbrodni katyńskiej „A”. Chcą, co logiczne, by nastąpiło „B” — będące następstwem tego kajania się, czyli płacenie na ogromną skalę odszkodowań. Znow daje próbkę swoistego poczucia humoru, stwierdzając: „a może byśmy tak wystąpili [wobec Polski] z powództwem za mord na obywatelach sowieckich”, którymi przecież byli w 1941 r. Żydzi z Jedwabnego (s. 372).

<sup>14</sup> Povilas Plechawičius, oficer armii litewskiej, w 1944 r. współorganizator pod zwierzchnictwem niemieckim miejscowych formacji litewskich i ich dowódca.

<sup>15</sup> A. Decaux, *Nouveaux dossiers secrets*, Paris 1967.

<sup>16</sup> Por. J. Muchin, *Katynskij dietiektiw*, Moskwa 1995; idem, *Antirosijskaja podlost'*, Moskwa 2003.

I dodaje: jeśli Polacy mają pretensje, że w latach 1939–1950 ginęli z rąk funkcjonariuszy NKWD, to niech pamiętają, iż byli to uczniowie „przesławnych synów narodu polskiego — Dzierżyńskiego, Mienżyńskiego, Redensa i im podobnych”. W wojnie domowej w Rosji w latach 1917–1921 wzięło udział około stu tysięcy Polaków — „podokazywali bracia—internacjonalisci po Rosji z całej duszy, zostawili krwawy ślad i w przygniatającej większości powrócili do historycznej ojczyzny” (s. 379).

Cała współczesna historiografia polska, wszelkie te „dywagacje opatrzone biało—czerwonym lakierem patriotycznym w większości kamuflują działalność komercyjną, jakiegoś bazaru historii [na którym] aktualnie dobrze sprzedaje się nienawiść do Rosji” (s. 380). Przewodzi temu biznesowi polski Instytut Pamięci Narodowej, żerujący „nie tylko na całkowicie mętnej sprawie katyńskiej”. Zbiera on gdzie tylko może informacje o operacjach NKWD, w których poszkodowani zostali Polacy, by przekazywać je prokuraturze. Zaś zgodnie z polskim prawem poszkodowanymi są nie tylko bezpośrednie ofiary, ale i ich potomkowie. I tu zaczyna się biznes drugiego typu — odszkodowania, próby przekucia krwi i cierpień „w dźwięczącą monetę”. Tak więc czytelnicy tej książki „szykujcie portmonetki — oczekujcie rachunków z Polski” (s. 384).

Niejako ostrzegając, powtarza Jakowlewa za Borysem Jelcynem jego wypowiedź z 1992 r., że gdyby obok dokumentacji katyńskiej przekazano Polsce dokumenty dotyczące „tych polskich działaczy, których wypuściło NKWD i w okresie późniejszym stali się bohaterami polskiej historii najnowszej (...) byłoby mało przyjemnie i należałoby tę historię Polski pisać od nowa” (s. 385).

W konkluzji zaś stwierdza: „Jak by nie były wszelkie hieny i szakale, wojenne Zwycięstwo należy do tych, którzy je rzeczywiście odnieśli (...) żyją sobie na Zachodzie wszeley możliwi sąsiedzi, żyją na rachunek tych, którzy leżą w ich ziemi (...) A co do jakiś tam innych rachunków, przedstawionych lub przygotowywanych przez stronę polską, mam osobiście jedną propozycję — zawczasu przygotować pieczętkę z napisem «Zapłacono 9 maja 1945 r.»” (s. 387).

Można domniemywać (vide czwarta strona okładki), że asumptem do napisania prezentowanej pracy były dla Jakowlewej rozważania polskiego historyka Pawła Wieczorkiewicza. Postawił on swego czasu z czytelną nostalgią tezę, iż przyjęcie przez Polskę propozycji Hitlera doprowadziłoby do wspólnej defilady zwycięstwa wojsk polskich i niemieckich w Moskwie, powstania zjednoczonej Europy z centrami w Berlinie, Rzymie i Warszawie. Gotów jestem zrozumieć jej oburzenie, ale nie reakcję w postaci książki skrajnie tendencyjnej, nieuczciwej.

W nocie reklamowej czytamy, że Autorka „obala rozliczne mity o okrucieństwach reżimu sowieckiego w stosunku do Polaków”, a także „o jakoby bezkompromisowej walce Armii Krajowej i podziemia polskiego z faszystami”. Można było tę informację ująć też inaczej: przytacza wiele interesującego, nowego dla historiografii rosyjskiej materiału faktycznego, ale na jego podstawie tworzy nie prawdę o ówczesnej trudnej rzeczywistości, ale mity o sowieckim humanitaryzmie wobec Polaków, fałszywy obraz Armii Krajowej jako formacji bandyckiej, koncentrującej się niemal wyłącznie na działalności antysowieckiej, współpracującej na tej płaszczyźnie z faszystami, nieprawdę o jakoby dominujących zdegenerowanych poglądach na historię polsko—rosyjskich stosunków wzajemnych we współczesnej Polsce.

Prezentowana praca Jeleny Jakowlewej, bliska formuły pamfletu, nie jest ewenementem. Za kliniczne wręcz przykłady podobnych, ziejących wprost antypolonizmem, publikacji uznać należy wyżej wspomniane prace Jurija Muchina o zbrodni katyńskiej. Niechęć do państwa polskiego, acz nie aż tak zjadliwe wyrażona, emanuje też z innych pozycji historiografii rosyjskiej

wydanych w ostatnich kilkunastu latach<sup>17</sup>. To już cała biblioteczka, do której przecież może sięgać młode pokolenie Rosjan, a w następstwie — uwierzyć w tezę o skażonym nienawiścią do nich narodzie polskim.

Prawdopodobnie nie mam racji, ale staram się wierzyć, że pod wpływem naszych recenzji choć nieliczni historycy rosyjscy sami zaczną reagować na wyżej opisaną tendencję. Przyczynią się do jej wyeliminowania, a przynajmniej marginalizacji.

Wojciech Materski  
Warszawa

Maria Fieldorf, Leszek Zachuta, *General Fieldorf „Nil”. Fakty, dokumenty, relacje*, t. 1–2, Warszawa 2006, Oficyna Wydawnicza RYTM, Instytut Józefa Piłsudskiego w Warszawie, ss. 1232

Biografistyka polska XX w. wzbogaciła się ostatnio o jeszcze jedną bardzo ważną pozycję wydawniczą. Na półkach księgarskich pojawiło się drugie — poszerzone i poprawione — wydanie książki Marii Fieldorf i Leszka Zachuty o generale Auguście Emilu Fieldorfie. Często zdarza się w informacjach wydawniczych czytać te słowa „wydanie II poszerzone i poprawione” choć w rzeczywistości owo poprawienie i poszerzenie jest — poza dodaniem kilkunastu akapitów i ilustracji — zabiegiem w zasadzie kosmetycznym. W przypadku pracy M. Fieldorf i L. Zachuty „poszerzenie” w stosunku do I wydania z 1993 r. oznacza, iż o ile książka wydana w 1993 r. miała 419 stron i 125 ilustracji, o tyle drugie jej wydanie — prezentowane teraz — to już dwa tomy o łącznej objętości 1232 stron i z 508 ilustracjami.

Przez wiele lat w historiografii PRL postać generała A. E. Fieldorfa była albo pomijana, albo ledwie tylko sygnalizowana. Przypomnijmy tylko, iż pierwszy obszerny życiorys generała opublikował dopiero w 1987 r. A. K. Kunert w *Słowniku biograficznym konspiracji warszawskiej 1939–1944*. Na publikację książkową o Generale przyszedł zaś czas dopiero w wolnej Polsce, po przełomie 1989 r., gdy zakończył się PRL, gdy znikła cenzura, gdy do zbiorowej pamięci przywracano postaci bohaterów.

Wieloletnie zainteresowania sylwetką generała jego bratanicy Marii Fieldorf i jej męża Leszka Zachuty zaowocowały opublikowaniem w 1993 r. pierwszej zwartej publikacji o Generale „Nilu”. Spotkała się ona z bardzo życzliwym i żywym przyjęciem zarówno ze strony zawodowych historyków, jak i tych wszystkich, którzy nie pozostawali obojętni wobec losów generała Fieldorfa i Jego pokolenia. Z jednej strony Autorzy otrzymali wiele uzupełniających materiałów od czytelników, z drugiej zaś strony sami starali się o dostęp do niedostępnych w czasie prac nad książką materiałów, przede wszystkim sądowych. Te dwa nurty dopływu materiału pozwoliły na ogromne uzupełnienie nie tylko książki, ale przede wszystkim naszego stanu wiedzy o Generale Auguście Emilu Fieldorfie i upowszechnienie tego w formie prezentowanego II wydania.

<sup>17</sup> I. W. Michutina, *Polsko–sowiecka wojna 1919–1920 gg.*, Moskwa 1994; S. W. Morozow, *Polsko–czesłowski odnoszenia 1933–1939. Czo skrywałos' za politikoj „ravnoudalennosti” ministra J. Becka*, Moskwa 2004; N. S. Rajskij, *Polsko–sowiecka wojna 1919–1920 godow i sud'ba wojennoplennych, internirowannyh, zalożnikow i bieżencew*, Moskwa 1999. Podobna jaskrawo antypolska tendencja jest też wyraźnie zauważalna w telewizji (seriale „1944” i „Bierlinskij ekspress”), a nawet w literaturze pięknej (eseje Stanisława Kuniajewa).

Jak zastrzegają w posłowniu Autorzy: „Nie jesteśmy historykami z wykształcenia, co, jak sądzimy, tłumaczy skłonność do — być może przesadnego — dokumentowania wszystkiego, o czym piszemy. Celem pierwszego wydania było przede wszystkim przedstawienie działalności generała. W drugim postanowiliśmy wykorzystać w szerszym zakresie zbiory rodzinne i akta operacyjne GZI WP i MBP, odtajnione przez prof. dr. hab. Leona Kieresa, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, a także dokumenty związane z oskarżeniem winnych zabójstwa sądowego oraz liczne publikacje na ten temat” (s. 853).

Chociaż istotnie Autorzy nie są profesjonalnymi historykami, mimo to swobodnie operują warsztatem historyka. Nie uciekają w tak kuszącą w tej właśnie tematyce publicystykę, a twarde trzymają się faktografii, dokumentując w przypisach pochodzenie podawanych informacji.

W zasadzie każdy z rozdziałów książki został wzbogacony o nowy materiał, choć w niejednakowym stopniu. Zachowano układ rozdziałów, rozwijając jednak dwa podrozdziały w odrębne rozdziały, tak iż obecnie praca ma osiem rozdziałów pomieszczonych w pierwszym tomie (liczącym 854 s.). Tom drugi (o objętości 377 s.) to aneksy w postaci dokumentów i not biograficznych, bibliografia, spis ilustracji oraz indeks nazwisk i pseudonimów.

Jak już zaznaczono, nowe materiały to przede wszystkim, choć nie tylko, dokumentacja zgromadzona w Instytucie Pamięci Narodowej, a dotycząca zbrodni sądowej dokonanej na Generale. Autorzy przeprowadzili też dodatkową kwerendę, np. w Archiwum Państwowym m.st. Warszawy, obejmując nią akta śledcze. Znacznie rozrosła się lista relacji (i listów). Wykorzystali także coraz obszerniejszą literaturę przedmiotu. Niepomiaralnie wzbogacona została szata ikonograficzna. W tej ostatniej kwestii Autorzy stwierdzili, iż „Postępująca bardzo szybko wizualizacja informacji skłoniła nas do zamieszczenia tak wielu ilustracji. Z myślą o młodych czytelnikach, którym odpowiada ten rodzaj przekazu, staraliśmy się dobrać je i ułożyć w taki sposób, by tworzyły równoległą do tekstu opowieść. Pamiętamy, jak zawsze ważna dla «Nila» była młodzież” (s. 854). Istotnie w tej książce ilustracje nie są tylko ilustracjami samymi dla siebie, ale są integralną częścią wykładu i dopełniają go. W tym kontekście należy zwrócić uwagę na różnorodność ikonografii. Są tam zarówno zdjęcia samego bohatera książki, jego rodziny, przyjaciół, ale także i prześladowców z lat Polski Ludowej. Są także reprodukcje dokumentów (jak np. Zawiadomienie o śmierci więźnia z 28 lutego 1953 r.), pamiętek osobistych, publikacji prasowych, czy fotograficzna dokumentacja pamięci o generale. Podkreślenia wymaga staranność wkomponowania ikonografii w tekst.

Rozdział I książki poświęcony jest losom Augusta Emila Fieldorfa do końca działań wojennych w 1939 r. Wylania się z niego sprężysta sylwetka doskonałego żołnierza i oficera. Autorzy kreslą przebieg służby w Legionach Polskich, a potem na różnych stanowiskach w Wojsku Polskim z lat 1918–1939. Przytaczają opinie służbowe przełożonych, ale i posiłkują się wspomnieniami kolegów i podwładnych ówczesnego podpułkownika, który na II wojnę światową wyruszył na stanowisku dowódcy 51 pp.

Rozdział II obejmuje lata 1939–1944, a więc apogeum wojskowej drogi życiowej Generała. Przedstawiono jego drogę przez Węgry do Wojska Polskiego we Francji. Przypomnijmy, iż 3 maja 1940 r. A. E. Fieldorf awansował do stopnia pułkownika. Po ukończeniu kursu oficerów sztabowych otrzymał przydział do Biura Generała Sosnkowskiego, czyli pracującej we Francji Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej. Od ówczesnego zastępcy KG ZWZ gen. Paszkiewicza otrzymał on propozycję powrotu do Kraju jako emisariusz KG ZWZ. W rezultacie był pierwszym emisariuszem, który dotarł do Kraju po przeniesieniu władz RP po klęsce Francji do Wielkiej Brytanii. W konspiracji krajowej został początkowo inspektorem KG ZWZ, a potem komendantem Obszaru Białostockiego ZWZ–AK. Najważniejszym jednak jego stanowiskiem było kierowanie Kedywem — Kierownictwem Dywersji — KG AK od jesieni 1942 r. do

marca 1944. To właśnie w czasie piastowania przez niego tej funkcji Kedyw KG AK przeprowadził szereg najważniejszych i bardzo spektakularnych akcji zbrojnych, których ukoronowaniem była likwidacja gen. SS i Policji Franza Kutschery w lutym 1944 r. Ten także okres życia generała bardzo zaważył na jego powojennych losach.

Kolejny rozdział książki traktuje o działaniach pułkownika Augusta Emila Fieldorfa w latach 1944–1945. Autorzy przedstawiają w nim założenia i strukturę organizacji „Nie” i rolę pułkownika „Nila” w jej utworzeniu. Piszą o popowstaniowym okresie konspiracji, gdy już jako generał brygady został zastępcą dowódcy Armii Krajowej, osiągając tym samym najwyższe w swojej karierze wojskowej stanowisko. Już po rozwiązaniu Armii Krajowej, w lutym 1945 r., gen. Leopold Okulicki, przedstawiając gen. Fieldorfowi rozwój zdarzeń w Kraju, pisał, iż „W związku z tą sytuacją musisz w tej chwili chwytać całość spraw w rękę”. Tego generała „Nil” już nie zdążył, gdyż został aresztowany przez NKWD 7 marca 1945 r. podczas kupowania większej ilości tytoniu, co miało mu zapewnić wobec nowych władz alibi w różnorodnych działaniach. I choć A. E. Fieldorf był w rękach NKWD, to nie został wówczas rozpoznany, a jego nazwisko wielokrotnie pojawiało się w trakcie procesu szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego w Moskwie wiosną 1945 r. Dodać tu można, iż konstruując ten rozdział, Autorzy mogli już opierać się nie tylko na wydanych w 1945 r. stenogramach procesu, ale także na ujawnionych i opublikowanych w latach 90. materiałach.

Odrębny rozdział, także rozbudowany, dotyczy pobytu Generała w Rosji. Jak wynika z ujawnionych w latach 2000. dokumentów (w tym listy transportowej) przy Walentym Gdanickim (pod którym to nazwiskiem występował A. E. Fieldorf) wpisano „agent «AK»”, o czym do tej pory badacze nie wiedzieli, co jednak nie oznaczało rozszyfrowania Gdanickiego. Transport na wschód i postawa Walentego Gdanickiego, który oddając choremu współtowarzyszowi cały posiadany zapas tannalbiny, uratował mu życie, potem pobyt w obozach pracy na Uralu i w konsekwencji pobyt w szpitalu w Moźdze oraz droga powrotna do Kraju składają się na ten etap losów Generała.

Najwięcej nowego i niezwykle istotnego, nie tylko dla biografii generała, materiału przynoszą kolejne trzy rozdziały. Traktują one o aresztowaniu i śledztwie wobec A. E. Fieldorfa, przedstawiają akt oskarżenia oraz w całej rozciągłości przebieg zbrodni sądowej dokonanej na Generale z wykonaniem wyroku śmierci 24 lutego 1953 r.

Znaczenie tej części książki wykracza daleko poza biografię jednego człowieka. Jest niezwykle ważną materiałowo dokumentacją działań Głównego Zarządu Informacji Wojskowej i Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 40. i w pierwszej połowie lat 50. Pozwala na wniknięcie w mechanizm działania aparatu terroru, w technikę zbierania informacji zarówno przez agenturę, jak i przesłuchania osób już aresztowanych, ukazanie konstruowania aktów oskarżenia, naginania materiałów dowodowych do z góry postawionej tezy i w rezultacie dokonanie zbrodni sądowej opartej na materiałach sądowych.

Jednocześnie ten właśnie fragment publikacji wskazuje na ogromne pokłady informacji faktograficznych dotyczących różnych pionów Polskiego Państwa Podziemnego, jakie tkwią w materiałach procesowych znajdujących się obecnie w Instytucie Pamięci Narodowej. Materiały te, poddane rzecz jasna krytycznej analizie, jako bardzo swoisty materiał sądowy, mogą stanowić i stanowią znaczne uzupełnienie dotychczasowego naszego stanu wiedzy w tym zakresie.

Przedstawiając końcowy okres życia Generała — już w celi śmierci — przywołują Autorzy różne relacje współwięźniów generała. Szkicując skład osobowy tej celi, w której obok siebie siedzieli generał SS Sporenberg i generał Armii Krajowej, gorzko konstatują: „Opisane wydarzenie ma szczególnie tragiczną wymowę, bowiem obaj generałowie, zbrodniarz hitlerowski

i żołnierz walczący o niepodległość Polski, skazani zostali na karę śmierci z tego samego paragrafu sierpniowego jako wrogowie Narodu Polskiego” (s. 581).

W zestawieniu z całą drogą życiową generała i stawianych mu sfabrykowanych zarzutów szczególnej wymowy nabierają słowa z opinii o ułaskawienie generała wystawionej przez Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy — „Skazany Fieldorf na łaskę nie zasługuje” z podpisem przewodniczącej sędzi SW Marii Gurowskiej oraz ławników Michała Szymańskiego i Bolesława Malinowskiego.

Dopełnieniem było wykonanie — przez powieszenie — wyroku śmierci 24 lutego 1953 r.

W dalszych częściach książki Autorzy ukazują z jednej strony działania zmierzające do rehabilitacji Generała, z drugiej zaś do ukarania winnych tej najgłośniejszej chyba zbrodni sądowej lat Polski Ludowej. Jako kwintesencję tej partii książki można przytoczyć przywoływane przez Autorów przemówienie wiceprezesa IPN, prof. dr. hab. Witolda Kuleszy, w lutym 2004 r. w Krakowie, w czasie uroczystego spotkania kombatantów. „Jeśli używam jednak terminu zbrodni sądowa — mówił prof. Kulesza — to muszę z goryczą wyznać, że nie udało się prokuratorom IPN uzyskać potwierdzenia pojęcia «zbrodni sądowej» w treści choćby jednego prawomocnego wyroku skazującego prokuratora lub sędziego współdziałających w sądowej zbrodni (...). Żaden prokurator ani żaden sędzia, którzy współdziałali w dokonaniu zbrodni sądowej na generale Augustcie Emiliu Fieldorfe «Nilu», nigdy na żadnym etapie postępowania nie powiedział «nie». Niech ich nazwiska pozostaną w naszej pamięci jako nazwiska zbrodniarzy, którym — choć to wyznanie dramatyczne i gorzkie — udało się uniknąć odpowiedzialności za dokonane zabójstwo człowieka” (s. 783).

Istotnie, żaden z przedstawicieli ówczesnego wymiaru sprawiedliwości i aparatu władzy nie poniósł odpowiedzialności za swoje czyny w skazaniu na śmierć generała Fieldorfa. Autorzy wymieniają z imienia i nazwiska wszystkich współuczestniczących w tej zbrodni, a żyje do dziś w Polsce ówczesny por. Kazimierz Górski, a w Wielkiej Brytanii ppłk Helena Wolińska-Brus. Jedyne więc, co pozostaje, to nie dać zapomnieć nazwisk ludzi, którzy przyczynili się do niewinnej śmierci jednego z najznakomitszych oficerów w historii Wojska Polskiego.

Ma prezentowana książka i inny jeszcze aspekt — omawia różne przejawy pamięci o generale „Nilu”. I to zarówno w czasach PRL, jak i już w wolnej Polsce. Dokumentuje msze żałobne i klepsydry rozwieszane najpierw ukradkiem na warszawskich murach, potem już drukowane w gazetach. Autorzy zestawiają skrupulatnie wszystkie istniejące w Polsce tablice, ulice, miejsca pamięci poświęcone generałowi, szkoły jego imienia. Prezentują konferencje, sesje naukowe i wystawy dotyczące generała. Jest to nie tylko dokumentacja pamięci o jednym człowieku, ale także punkt wyjścia do przyszłych socjologiczno-histerycznych badań o przywracaniu należnego miejsca bohaterom narodowym.

W sumie więc otrzymaliśmy bardzo ważną publikację, która choć dotyczy jednej postaci, to wielokrotnie znacznie wykracza poza losy głównego bohatera.

Na podkreślenie zasługuje wspomniana już szata ikonograficzna książki oraz ważny dla tematu zestaw dokumentów publikowanych w tomie drugim, a także noty biograficzne postaci łączących się z losami generała.

Książka zaopatrzona jest także w starannie opracowany indeks nazwisk i pseudonimów.

Jest to więc kolejna publikacja, która zajmie trwale miejsce w naszej historiografii i służyć będzie nie tylko badaczom lat II wojny światowej. Każdy, kto będzie pisał historię powojennej Polski, będzie musiał także po nią sięgnąć.

Marek Ney-Krwawicz  
Warszawa

Katarzyna Maniewska, *Kościół katolicki w Bydgoszczy wobec prób laicyzacji i dezintegracji społeczeństwa w okresie rządów Edwarda Gierka (1970–1980)*, Warszawa 2007, Neriton, IH PAN, ss. 271

Historia Kościoła katolickiego w Polsce po II wojnie światowej, rozumiana jako historia „Kościola żywego”, a nie tylko instytucji i hierarchii, to nadal dziedzina niezbadana. W ostatnich latach ukazało się przynajmniej kilka znaczących studiów, poświęconych tzw. kościołom lokalnym. Ich autorzy zwykle za przedmiot analizy brali obiekt z kościelnego porządku administracyjnego, czyli diecezję (parafię trudno uznać za Kościół lokalny). Wyjątki od tej zasady są nieliczne, należy do nich praca Ryszarda Gryza poświęcona Kościołowi w woj. kieleckim (na terenie którego zbiegały się granice kilku diecezji), a także recenzowana praca Katarzyny Maniewskiej<sup>1</sup>. Bydgoszcz od niedawna jest siedzibą biskupa bydgoskiego, lecz w okresie analizowanym przez Autorkę całe miasto wchodziło w skład archidiecezji gnieźnieńskiej, a parafie na jego terenie były zgrupowane w cztery dekanaty.

Pomysł zajęcia się tak dogłębnie jednym miastem uważam za godny pochwały. Miała wszak i ma Bydgoszcz, jak i całe Pomorze Nadwiślańskie, swą kościelną specyfikę, a długotrwały związek z Gniezmem, choć zrozumiała, tę specyfikę zacierał. Było to największe i prężnie się rozwijające miasto diecezji gnieźnieńskiej, jedyna na jej terenie siedziba władz i urzędów wojewódzkich (zarówno przed 1975 r., jak i po nim) i wreszcie ośrodek akademicki. Powody to aż nadto wystarczające, by przyjrzeć się życiu religijnemu mieszkańców grodu nad Brdą.

Książka podzielona została na dziesięć nierównej długości rozdziałów. Łatwo po ich tytułach zorientować się, że dotyczą zagadnień często poruszanych w historiografii PRL doby obecnej. Mamy więc np. rozdział na temat budownictwa sakralnego, katechizacji dzieci i młodzieży, dyskryminacji wierzących czy też działalności duszpasterstwa akademickiego i echa rewolty grudniowej 1970 r. Doniosłości tych zagadnień nie chciałbym tu postpowować. Zaslugują na uwagę i solidne opracowanie. Są one jednak podyktowane optyką źródeł, zwłaszcza dokumentów z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej. Nie wszystko, czym interesowała się Służba Bezpieczeństwa czy Urząd do Spraw Wyznań, musi i nas dziś w równym stopniu zajmować. Źródłom można zawsze próbować postawić pytania bardziej oryginalne, wydobywając z nich nawet to, co nie było intencją aktotwórcy. Nie twierdzę jednak, że takie tematy, jak: „rola społeczna zakrystiana i parafialnej aktywistki (tzw. dewotki)”, „stopa życiowa kleru katolickiego i jej materialne korelaty”, „młode pokolenie księży Polski Ludowej”, „trajektorie życiowe byłych ministrantów”, „państwowy zakład pracy jako ośrodek laicyzacji”, byłyby lepsze. Albo w ogóle możliwe do zbadania.

Nim przejdę do omówienia pracy, chciałbym podnieść jeden generalny problem, sprawa dotyczy kompletności bazy źródłowej. Owszem, pracę oparto na dokumentach kościelnych (Archiwum Archidiecezjalne w Gnieźnie), jak i państwowych (Urząd do Spraw Wyznań, Archiwum Państwowe w Bydgoszczy, wreszcie Instytut Pamięci Narodowej) oraz kilku niepublikowanych pracach magisterskich na temat parafii bydgoskich. Katarzyna Maniewska wszakże spośród piętnastu legalnie istniejących w latach 70. XX w. parafii bydgoskich wybrała tylko sześć (Św. Ducha, św. Wincentego à Paulo, św. Andrzeja Boboli, Niepokalanego Poczęcia NMP, Świętych Polskich Braci Męczenników, św. Józefa Rzemieślnika). Zdarza się wprawdzie, że podaje informacje dotyczące innych parafii, np. najstarszej w mieście parafii farnej (św. Marcina i Mikołaja), lecz dane, zwłaszcza chętnie cytowane dane liczbowe z akt kościel-

<sup>1</sup> Już opublikowane prace poświęcone Kościołom lokalnym wymienia autorka na s. 1 pracy.



nych, dotyczą tylko parafii wyżej wymienionych, a nie Bydgoszczy jako całości, jak sugeruje tytuł książki. Autorka dowodzi, że przy wyborze parafii kierowała się „kryterium opartym na różnorodności i odmienności warunków funkcjonowania ówczesnych parafii” (s. 54), co należało chyba doprecyzować.

Rozdział na temat budownictwa obiektów sakralnych przedstawia prawidłowości znane i dość szeroko na różnych przykładach opisywane. Ekipa Gomulki, zasadniczo niechętna Kościołowi, konsekwentnie odmawiała pozwoleń na budowę nowych kościołów. Pewne korekty w tej polityce nastąpiły po 1970 r., jednak nie były na tyle głębokie, by móc mówić o zmianie generalnej. Wydanie zezwoleń na wznoszenie nowych kościołów miało na celu raczej wygaszenie najbardziej zapalnych punktów w stosunkach między poszczególnymi kuriami i władzami wojewódzkimi. Bydgoszcz ze swoimi wielkimi osiedlami mieszkaniowymi pozbawionymi kościołów była miastem szczególnie pod tym względem upośledzonym. Maniewska pokazuje, że Kościół (czyli biskupi gnieźnieńscy, wsparci autorytetem ordynariusza prymasa Stefana Wyszyńskiego) starał się w negocjacjach używać głównie środków dyplomatycznych. Nie uciekał się do mobilizowania wiernych (choć ci ze swej strony interweniowali u władz różnych stopni). Ta polityka zaczęła przynosić rezultaty dopiero pod koniec dekady. Nielegalnych budów niemal nie było, a przynajmniej nie było one spektakularne, ot, jakieś przeróbki kaplic czy zadania z inicjatywy kilku proboszczów. Wierni — to już mój osąd — wykazywali w tym zakresie pewną bierność, zwłaszcza gdy porównamy Bydgoszcz z diecezją przemyską pod rządami bp. Ignacego Tokarczuka<sup>2</sup>.

Kolejne trzy rozdziały (o wiernych, duchowieństwu i niewierzących) warto omówić łącznie. Dają one bowiem pewien ogólny obraz społeczności miasta, z tego też względu umieściłbym je zaraz na początku książki. Pod koniec 1971 r. zamieszkiwało Bydgoszcz 284 tys. ludzi, w ogromnej większości wyznania katolickiego. Niektóre z parafii liczyły kilkadziesiąt tysięcy wiernych, co nadzwyczaj utrudniało jakąkolwiek głębszą akcję duszpasterską. Nie było mowy o budowaniu i umacnianiu wspólnoty religijnej *par excellence*, a kościoły pękały w szwach.

Część pracy opisująca duchowieństwo Bydgoszczy słusznie zaczyna się od przedstawienia portretów biskupów pomocniczych gnieźnieńskich, tj. bp. Lucjana Bernackiego i Jana Michalskiego (postać trzeciego z nich, bp. Jana Czerniaka, zdecydowanie najmniej zaznacza się w książce, choć to on w kurii podejmował najważniejsze decyzje). Do opisu charyzmatycznej i nie lubianej przez władze postaci bp. Bernackiego dodałbym jeden szczegół. Warto, by Czytelnik wiedział, że hierarcha ten w 1953 r. został usunięty z zajmowanego stanowiska i do 1956 r. przebywał poza Gniezdem, dzieląc w jakiś sposób los swego ordynariusza prymasa Wyszyńskiego. Nie był poddany izolacji ani ciężkiemu śledztwu, jak bp Antoni Baraniak, lecz to wygnanie spowodowało pogłębienie jego niechęci do panującego ustroju. Na osobne omówienie zasługuje jego wojenna tułaczka przez Europę, która uczyniła go tak niezłomnym kapłanem. Największy niedosyt budzi jednak charakterystyka niższego duchowieństwa, ograniczająca się do naszkicowania tylko kilku sylwetek wybijających się księży, uznanych przez SB za najbardziej kłopotliwych, „wrogich”, „negatywnie nastawionych”. Autorka nazbyt łatwo wierzy w te charakterystyki i przyjmuje je nader bezkrytycznie. Klasyfikacja czy też gradacja księży (od „pozytywnych”, poprzez „obojętnych”, aż do „negatywnych”) dokonywana przez Służbę Bezpieczeństwa jest o tyle ważna, że pokazuje nastawienie do nich aparatu represji. Niewiele mówi jednakże o ich rzeczywistej postawie ideowej czy nawet aktywności społecznej.

<sup>2</sup> A. Boniecki, *Budowa kościołów w diecezji przemyskiej*, Lublin [b.r.]

Na podstawie akt IPN można sobie jedna wyrobić nieco inne pojęcie o niektórych duszpasterzach bydgoskich. Nie zawsze gorliwość duszpasterska i krytycyzm wobec komunizmu szły w parze z moralnością w życiu prywatnym, co SB skrupulatnie starała się wykorzystywać. Odnoszę wrażenie, że Maniewska oszczędziła niektórych wymienionych z nazwiska księży. Unikanie rozmów z władzami, podkreślane jako pozytywna cecha odróżniająca księży diecezji gnieźnieńskiej od np. księży diecezji chełmińskiej (s. 68), nie wynikało tylko z niechęci do ustroju i urzędników pionu wyznaniowego, lecz także po prostu z chęci uniknięcia tzw. szantażu obyczajowego.

Szkoda, że Autorce nie udało się określić choćby przybliżonej liczby tajnych współpracowników SB wśród kleru Bydgoszczy i nie wyszła ona poza konstatację, że dla województwa bydgoskiego odsetek zwerbowanych wynosił ok. 10% (s. 61). Trudności w ustaleniu tych szczególnie skrywanych przez MSW danych są jednak zrozumiałe. Niełatwo nawet orzec, czy werbunkowi łatwiej poddawali się księża na wsi czy też w dużym mieście.

Największe moje wątpliwości budzi krótki rozdział na temat innowierców i niewierzących, zwłaszcza że Autorka usiłuje określić liczebność drugiej z tych grup. Cytuje przy tym obficie dokumenty kościelne (zwłaszcza tzw. sprawozdania duszpasterskie, składane co roku przez proboszcza na ręce dziekana i przy okazji wizytacji kanonicznej). Podaje na przykład, że w parafii św. Wincentego à Paulo na 27 tys. mieszkańców ok. tysiąca było ateistami. Tę wysoką liczbę usprawiedliwiać miał fakt, że na terenie dzielnicy zamieszkiwali urzędnicy i funkcjonariusze partyjni. Liczbę podaną przez proboszcza należało wziąć jednak *cum grano salis*, zwłaszcza dopóki nie określi się, co kryje się pod określeniem ateista. Dla przeciętnego duchownego przejawem ateizmu mogło być po prostu już niechodzenie do kościoła, czyli opuszczanie tzw. praktyk okresowych. Czy jednak można mówić tu o tym, czym w istocie ateizm jest, czyli o konsekwentnej postawie filozoficznej, światopoglądzie zupełnie wolnym od fideizmu? Zapewne w przypadku niektórych jednostek tak. Są jednak i inne możliwe do wyróżnienia postawy człowieka wobec *sacrum* — teizm, agnostycyzm, sceptycyzm itd. Sztynny podział pojęciowy na wierzących i niewierzących — zauważmy, jak wygodny w tym czasie zarówno dla Kościoła, jak i dla państwa komunistycznego — nie opisuje problemu, tylko go upraszcza. Nie można odmawiać duchownym znajomości swoich parafian, lecz nie można jej *a priori* uznawać za dogłębną, zwłaszcza w parafii wielkowiejskiej. Najbezpieczniej uznać, że niewierzącym jest ten, kto się za takiego uważa. Takich deklaracji tożsamości nie znajdziemy jednak chyba w żadnych dokumentach<sup>3</sup>. Jak wiemy, ani członkostwo w PZPR, ani przynależność do warstwy oficerskiej wojska, ani praca w administracji państwowej nie musiały korelować w 100% z niechęcią czy choćby nawet obojętnością wobec religii. Co więcej, praktyki religijne, choćby i częste, nie zawsze muszą się wiązać z wiarą, bywa, że wynikają z konformizmu grupowego. Socjologowie starają się rozróżnić różne postawy wobec religii, np. używa się czasem pojęcia religijnej i niereligijnej kościelności, a także religijności pozakościelnej<sup>4</sup>. Edward Ciupak wyróżniał trzy typy katolicyzmu: ludowy, indyferentny (sformalizowany) i zaangażowany (z głębokich pobudek intelektualnych)<sup>5</sup>. Czy religijność bydgoszczan mieściła się w tych — podanych tylko przykładowo — siatkach pojęciowych?

<sup>3</sup> Za wyjątkiem oficjalnych urzędowych aktów wystąpienia z Kościoła katolickiego, ale któż poza lewicowym poetą Brunonem Jasińskim taki akt złożył?

<sup>4</sup> J. Baniak, *Religijność miejska w warunkach uprzemysłowienia i ruralizacji na przykładzie Kalisza*, Kraków 1990, s. 11.

<sup>5</sup> E. Ciupak, *Przemiany katolicyzmu w środowisku wsi polskiej*, „Dzieje Najnowsze” 1974, nr 2, s. 97–116.

Asumpt do nazywania Bydgoszczy siedzibą bezbożnictwa i ateizmu dawał (szczególnie bp. Bernackiemu) natomiast fakt, że w okresie popaździernikowym odbył się tu zjazd założycielski ogólnopolskiego Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomysłicieli i miasto było jakby stolicą tego wspieranego szeroko przez władze ruchu. Rozważania na temat różnych kategorii niewierzących byłyby więc bardziej trafione, gdyby Maniewska postarała się określić choćby liczebność członków SAiW i podobnych organizacji, zamiast sięgać po wątpliwej wiarygodności przekazy.

Rozważania na temat osób innej wiary koncentrują się na Świadcach Jehowy. Liczebność tej akurat grupy była, z uwagi na jej odmiennosc, łatwa do ustalenia i w tym wypadku możemy wierzyć proboszczom. Szeregi Świadców Jehowy w latach 70. wzrastały i ta tendencja jest wyraźna. Szkoda tylko, że Autorka nie próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się działo.

Następna część pracy, najobszerniejsza, poświęcona została przejawom życia religijnego mieszkańców Bydgoszczy. I w tym rozdziale, za wyjątkiem arcyciekawego fragmentu o zabiegach przerywania ciąży, dominuje optyka akt kościelnych. Sprawozdawczość przeciętnej parafii dla kurii skupiała się głównie na praktykach religijnych. Część z nich, czyli tzw. praktyki jednorazowe (chrzest, bierzmowanie, zawarte małżeństwa, pogrzeby) była łatwo policzalna i dane te są dziś bezcenne. Niestety, nie udało się zestawić tego typu informacji dla całej dekady lat 70., nawet dla choćby jednej parafii. W rezultacie czytelnik otrzymał dane wyrywkowe i nieciągłe, np. bezwzględna liczbę chrztów tylko dla trzech parafii: Świętych Polskich Braci Męczenników (za lata 1977, 1978), św. Józefa (za rok 1979) i Św. Ducha (za lata 1974 i 1979; na s. 109). Nie można więc na ich podstawie ustalić jakiegokolwiek tendencji, zwłaszcza że brak porównania liczby urodzin do liczby chrztów. Nieco bogatsze są już dane dotyczące dzieci przyjmujących pierwszą komunię św. Okazało się, że sakrament ten przyjmowało praktycznie 100% ochrzczonych, co jest znaczącym argumentem na rzecz twierdzenia o słabości oddziaływania laicyzacyjnego na najmłodsze pokolenie. Najwidoczniej rodzice powszechnie dbali o dopełnienie tej ważnej z punktu widzenia chrześcijanina praktyki, a przynajmniej czynnik państwowy nie przeszkadzał im w tym zbytnio. Liczba zawieranych w obrządku katolickim ślubów również była wysoka i osiągała ponad 90% wszystkich zawieranych małżeństw. O wiele gorzej wyglądał wskaźnik *dominicanos*, czyli odsetek wiernych uczęszczających na niedzielne nabożeństwo. Dane na ten temat są zbierane regularnie dopiero od 1980 r. przez Kościół, więc szacunki Maniewskiej mają charakter pionierski. Wydają się przy tym nadzwyczaj trafne. Już liczby uczęszczających na nabożeństwa w dni powszednie są bardzo małe (w tym przypadku mówić można już nie o procentach, lecz o promilach całej wspólnoty parafian). Trudno się jednak zgodzić z badaczką, gdy pisze, że najbardziej widowym znakiem rozstania się ze wspólnotą Kościoła jest m.in. nieprzyjmowanie kolędy (s. 109). W niektórych parafiach odsetek rodzin odmawiających przyjęcia kolędującego duszpasterza sięgał 14% (np. w parafii ŚPBM). Czy uprawnione jest nadawanie aż tak poważnego znaczenia niekatechizmowemu zwyczajowi kolędy? Istniało przecież i istnieje będzie zjawisko antyklerykalizmu wierzących katolików, a kolęda jest dobrym sposobem do jego zmanifestowania.

Wspomniany passus na temat aborcji nie dotyczy bezpośrednio Bydgoszczy, raczej przedstawia ten problem z perspektywy ogólnopolskiej, względnie wojewódzkiej, i opiera się na twardych danych statystycznych. Jego wartość jest nie do przecenienia i wiele mówi o sytuacji Polek w latach 70. XX w.

Kolejne dwa rozdziały — na temat dyskryminacji wierzących i katechizacji dzieci i młodzieży — pokazują, jak wielkie trudności przezwyciężyć musi historyk, by opisać to, co stanowi znaczący element życia codziennego. Wypada się chyba zgodzić z tym, że nadmierna indywidualna religijność wśród pracowników instytucji państwowych tego czasu nie była dobrze widziana.

Jednakże poza kilkoma przypadkami trudno Maniewskiej pokazać skalę prześladowań wiążących, jeśli w ogóle można użyć tego słowa. Cytowane dane Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej (np. s. 150), czuwającej nad czystością ideologiczną szeregów PZPR, są o tyle zawodne, że niemal nigdy nie ma pewności czy związek z Kościołem nie był tylko pretekstem do wyrzucenia z partii, a właściwe przewinienie członka PZPR nie polegało na czymś zupełnie innym.

Sprawa nauczania religii w latach 70. nie budziła już takich kontrowersji i zainteresowania władz, jak w czasach Gomułki. Można rzec, że ustalil się pewien *modus vivendi*, państwo w istocie nie przeszkadzało w katechizacji. Tę niestabilną normalność Autorka świetnie pokazuje.

Szczególnie wartościowe są wywody Maniewskiej na temat duszpasterstwa akademickiego. Dowodzą one znakomicie, co było priorytetem Służby Bezpieczeństwa: oderwanie młodzieży od Kościoła i światopoglądu przezeń propagowanego. Skala środków operacyjnych skierowanych przeciw duszpasterstwu uzmysławia istotę stosunku tego ustroju do religii. Dodać trzeba, że ośrodek akademicki w Bydgoszczy był wówczas bardzo mały, a grupa studentów chcących aktywnie pogłębiać swą formację religijną iście katakumbowa. Mimo to podawano ich dość ścisłej inwigilacji, a jednostki bardziej zaangażowane musiały się liczyć z utrudnieniami władz, niestety także nauczycieli akademickich, przeprowadzających pod dyktando SB niemożliwe do zdania egzaminy. Skuteczność działania aparatu represji była duża. Duszpasterstwo nie rozwinęło się na skalę masową, a studenci bydgoscy nie zaznaczyli swej obecności w ruchu Studenckich Komitetów Solidarności, aktywnym od 1977 r. w kilku innych miastach Polski.

Na koniec parę uwag szczegółowych. Nie wydaje mi się poprawna często używana forma „metropolitarna” zamiast „metropolitalna”. Kilkakrotnie w nieuprawniony sposób określa się biskupów pomocniczych gnieźnieńskich mianem biskupów bydgoskich, a raz bp Bernacki występuje z tytułem arcybiskupa (s. 70). Proboszcz parafii farnej nazywał się ks. Hanelt, a nie Harnert (s. 70). Informacja MSW na temat ks. Czesława Spychalskiego, że jako jedyny w mieście jest on w stanie przeciwstawić się hierarchii, nie mówi nam nic o „wielkiej sile jego autorytetu i oddziaływaniu na wiernych”, lecz stanowi po prostu aluzję do najwyraźniej nieznanego Autorce faktu zaangażowania tego duchownego w latach 50. w prace Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Wojewódzkim Komitecie Frontu Narodowego (s. 70). Nie można pozostawiać bez komentarza takich stwierdzeń osób duchownych, jak np. to, że w parafii szerzy się „niemoralność przybrana w szaty postępu” (s. 83). Trudno bowiem uznać bez zastrzeżeń wartość opisową tych słów. Wzięte z dokumentów kościelnych kategorie osób nieprzyjmujących kolędy i nieobecnych w tym czasie w domu (np. s. 132) połączyłbym w jedną, wszak rozróżnienie to ma charakter przecież bardzo nieostry. IKP to skrót od „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”, a nie „Ilustrowanego Kuriera Pomorskiego” (s. 254); ORMO to Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej, a nie Oddziały Rezerwowe Milicji Obywatelskiej (s. 254). W rozdziale o pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski badaczka nazbyt szybko uznała, że władze wojewódzkie wygrały batalię o ograniczenie frekwencji na uroczystościach w Gnieźnie 2 czerwca 1979 r. Nie przytacza jednak żadnych danych na temat liczby osób chcących tego dnia jechać z Bydgoszczy do stolicy archidiecezji.

Katarzyna Maniewska napisała książkę ciekawą i potrzebną. Na pewno pozostanie znaczącym punktem odniesienia dla wielu przyszłych badaczy Polski Ludowej, zainteresowanych nie tylko historią regionalną czy też dziejami Kościoła katolickiego.

Bartosz Kaliski  
Warszawa

*Wokół teczek bezpieki — zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*, pod redakcją Filipa Musiała, Kraków 2006, Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego „Societas Vistulana”, ss. 432

Na rynku księgarskim ukazała się pozycja, którą można zaliczyć do kategorii przewodnika po teczkach bezpieki, niezwykle cenna dla badaczy dziejów UB–SB i osób, które chcą się zmierzyć ze spuścizną archiwalną po komunistycznym aparacie terroru, znajdującą się w Instytucie Pamięci Narodowej (dalej: IPN). A jest to spuścizna niemała, licząca 82 km bieżących akt, wokół której w ostatnich latach narosło wiele mitów, wynikających z niewiedzy lub celowej działalności dezinformacji społeczeństwa<sup>1</sup>.

Można też mówić o pewnym paradoksie w historii i badaniach historycznych, mianowicie gdy upadł komunizm, a wraz z nim reżim komunistyczny, jego beneficjenci przeszli swoistą metamorfozę — z oprawców, gorących orędowników peerelowskiej epoki stali się zwolennikami demokracji, a dokumenty wytworzone przez 46 lat, które stanowią swoistą kopalnię wiedzy na temat rzeczywistości społecznej, od polityki, po gospodarkę, ochronę zdrowia, naukę, oświatę, aż po rozrywkę, życie towarzyskie, rodzinne, intymne i uczuciowe, usiłowano uczynić pilnie strzeżoną tajemnicą, tak aby nie sposób z jednej strony osądzić i ukarać uwiecznionych w nich „bohaterów”, podobnie jak z drugiej strony docenić i uhonorować w Panteonie Polskim politycznych bohaterów przeszłości.

Gdy wreszcie w IPN zgromadzono archiwalia wytworzone przez „bezpiekę”, w tym materiały nazywane potocznie teczkami, które zaczęto udostępniać, zjawili się przeciwnicy i mentorzy, którzy zaczęli podważać wiarygodność historycznego zbioru, z wątpliwościami co do sensu sięgania do przeszłości, z troską o dobre imię, samopoczucie osób, których ukrywana dotąd zdrada została publicznie ujawniona.

Polityczny problem rozliczenia spuścizny reżimu komunistycznego źle wpływał na obraz badań nad historią lat 1944–1990. Czas, w którym próbowano zacierać ślady po aparacie terroru, stanowi kolejną kartę historii Polski. Po okresie historycznego zachowania się oponentów co do lustracji stopniowo zaczynają zajmować miejsce rzetelne badania, analiza źródeł, które coraz częściej są wykorzystywane przez historyków spuścizny archiwalnej po PRL. Dlatego konieczna stała się refleksja metodologiczna i źródłoznawcza nad tym, co przejął IPN. Jest to bardzo wyjątkowy zbiór źródeł historycznych. Jego penetracja przez badaczy daje nam wiedzę, której nie można uznać za jedyną podstawą rekonstrukcji najnowszych dziejów Polski, ale trzeba jasno powiedzieć, bez niej obraz historii najnowszej Polski byłby zamazany i nieprawdziwy, a pewne procesy niezrozumiałe.

Książkę otwiera artykuł ukazujący stan badań nad komunistycznym aparatem represji (s. 63–116) autorstwa Wojciecha Frazika, Bogusława Kopki i Grzegorza Majchrzaka. W artykule autorzy dokonali przeglądu badań nad komunistycznym aparatem terroru w PRL 1944–1989. Szkic otwiera zarys ukazujący organizację aparatu represji, do którego były zaliczane cywilne i wojskowe instytucje państwowe. Do 1958 r. nie ukazała się żadna praca książkowa, która poruszałaby temat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Początkowo szczątkowe wzmianki publikowane były w resortowych czasopismach „W służbie Narodu”, „Na straży”, „Ormowiec”. Najczęściej były to wzmianki ukazujące walkę aparatu terroru z „bandami” [czytaj — oddziały podziemia niepodległościowego — przyp. W. Ch.], w których gloryfikowano do-

<sup>1</sup> Zob. F. Musiał, *Chirurdzy pamięci*, w: „Nowe Państwo” 2006, nr 2.

konania funkcjonariuszy MO, UB, ORMO i żołnierzy Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dopiero w latach 60. XX w. podjęto badania w ramach Wojskowego Instytutu Historycznego, Wojskowej Akademii Politycznej, Zakładu Historii Partii przy KC PZPR i powstały wstępne prace badawcze nad działalnością resortu. Pewien rozkwit badawczy nad działalnością resortu nastąpił w latach 70., kiedy powołano do życia uczelnie resortowe: szkoły oficerskie MSW w Legionowie (szkoła SB) i Szczytnie (szkoła MO). Magistranci byli najczęściej zobligowani do pisania prac dyplomowych z tematyki resortowej, w których przewijał się temat badawczy walka UB–MO–KBW ze zbrojnym podziemiem i utrwalanie władzy ludowej. Uzupełnieniem stanu badań było wydanie w latach 80. w Akademii Spraw Wewnętrznych serii *Studia z dziejów organów resortu spraw wewnętrznych* i kwartalnika „Zeszyty Naukowe ASW”. Wspólnym mianownikiem tych prac jest okoliczność, że powstawały one na podstawie akt operacyjnych i administracyjnych UB–SB, a ich autorami byli funkcjonariusze komunistycznego aparatu terroru. Po demokratycznych wyborach w czerwcu 1989 r. oraz w latach 90. XX w., po częściowym otwarciu archiwów resortowych na szczeblu centralnym, jak i terenowym, ukazało się wiele prac dotyczących aparatu bezpieczeństwa, a także materiały źródłowe. Szczególnie cennym źródłem dla badacza dziejów aparatu terroru jest seria *Dokumenty do dziejów PRL*, wydawana przez Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, a od 2000 r. przez IPN, autorstwa Andrzeja Paczkowskiego, Antoniego Dudka i Aleksandra Kochańskiego. Uzupełnieniem artykułu jest zamieszczony przez Wojciecha Frazika wykaz publikacji proveniencji MBP–KdsBP–MSW znajdujących się w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN (s. 117–176). Wykaz liczy 1137 pozycji, został zamieszczony w układzie alfabetycznym, wg nazwisk autorów, zawiera tytuł, określenie wydawcy, miejsca, rok wydania. Zakres tematyczny wykazu jest dość rozległy — od szeroko pojętej kryminalistyki po psychologię i bibliografię.

Również interesująco z metodologicznego punktu widzenia i pracy badawczej obejmującej zasób archiwalny wytworzony przez aparat terroru prezentuje się praca Marka Jana Chodakiewicza, *Wędrowki historyka. Kilka słów o metodologii* (s. 177–192). Naukowiec zajmujący się określonym tematem powinien odpowiedzieć sobie na dwa podstawowe pytania: po pierwsze — dlaczego zagłębiamy się w daną tematykę, a po drugie — jak podejść do interesujących nas zagadnień. Drugie pytanie wkracza w zakres metodologii. Jest to istotne w podejmowaniu badań nad teczkami UB–SB. Wśród wielu badaczy pokutuje pojmowanie aparatu komunistycznego terroru jako „aparatu bezpieczeństwa”, który funkcjonuje w demokratycznych państwach. Obserwuje się relatywizowanie zjawiska „aparatu bezpieczeństwa”. Autor artykułu takie nazewnictwo nazywa kryptoapologią totalitaryzmu. Takie przemianowanie jest niedopuszczalne również z moralnego punktu widzenia. Obraża w skali globalnej dziesiątki milionów ofiar komunizmu. Za istotne dzieło w rozumieniu i ukazaniu obrazu komunistycznego aparatu terroru wg M. J. Chodakiewicza na uwagę zasługuje praca Roberta Conquesta<sup>2</sup>, który pokazał, że mimo ograniczeń metodologii „kremlinologicznej”, „sowietologicznej” można w rozmaity sposób z radzieckich i emigracyjnych źródeł wyciągnąć na światło dzienne tajemnice komunistycznego aparatu terroru. W dalszej części artykułu Autor koncentruje się nad uzusem aparatu terroru. Był to język specyficzny, którym posługiwali się funkcjonariusze aparatu terroru, bez znajomości esbeckiego żargonu możemy otrzymać zafalszowany obraz zjawiska, które badamy. Jak podkreśla Autor (s. 190), „Urzędowy język zbrodniarzy był specyficzny, często wy-

<sup>2</sup> E. Conquest, *Great Terror. A Reassessment*, New York–Oxford 1990; idem, *Inside Stalin's Secret Police. NKVD Politics 1936–1939*, Stanford–London 1985.

starczył słowny rozkaz, odpowiednia aluzja, aby podwładni w lot chwyтали, o co chodzi i wprowadzali w życie walkę klas”.

Ubecki uzus swój rodowód wywodził z wojennego podziemia komunistycznego, z partyzantki radzieckiej na Kresach Wschodnich. „Faszystowscy kolaboranci”, „sojusznicy Hitlera”, „reakcyjni zdrajcy”, to inwektywy z okresu wojny, które bardzo szybko zostały przyswojone przez PKWN, szczególnie w dekretach<sup>3</sup>.

Jeszcze większy rozgłos osiągnęły inwektywy w propagandzie komunistycznej. W ubeckim żargonie „bandyta”, „bandy” właściwie zawsze oznaczały członka, żołnierza podziemia AK, ROAK–WiN, NSZ–NZW bądź oddziały zbrojne podziemia niepodległościowego, a nie prawdziwego kryminalistę, czy bandę kryminalną. Artykuł M. J. Chodakiewicza jest godny podkreślenia jeszcze z jednego punktu, a mianowicie przywołuje obok publikacji badaczy polskich, publikacje angielskie<sup>4</sup> i niemieckie<sup>5</sup>, potrzebne do zrozumienia istoty badanego zjawiska.

Kolejne dwa artykuły: *Badanie dokumentacji komunistycznego aparatu represji I: UBP, Informacji Wojskowej, Milicji Obywatelskiej. Wybrane aspekty źródłoznawcze*” pióra Tomasza Blabusa (s. 193–211) oraz *Materiały operacyjne służb specjalnych PRL jako źródło historyczne. Uwagi metodologiczne* autorstwa Antoniego Dudka i Zdzisława Zblewskiego (s. 213–219) przedstawiają szeroką spuściznę archiwalną pozostałą po komunistycznym aparacie terroru. W artykułach prezentują ostrożne podejście do zagadnienia, zwracając uwagę na ewentualne wątpliwości wobec ustalenia faktów na podstawie zachowanych „teczek”.

Artykuły Piotra Milczanowskiego *Specyfika struktury organizacyjnej MSW* (s. 221–229) i Moniki Komanieckiej *Organizacja i funkcjonowanie kartotek ogólnoinformacyjnej i zagadnieniowej aparatu bezpieczeństwa, Dzienniki korespondencyjne, rejestracyjne, archiwalne i koordynacyjne jako źródło historyczne* (s. 231–280) odnoszą się do sposobu ewidencjonowania przez UB–SB pracy operacyjnej. Ich Autorzy wskazują, że dokumentacja ewidencyjna może być przydatna w badaniach nad aparatem terroru, który był wymierzony w działalność niepodległościową. Tekst P. Milczanowskiego można uznać za wprowadzający w tematykę ewidencji operacyjnej. System ewidencji osobowo–rzeczowej osób będących w zainteresowaniu aparatu terroru był jednym z najważniejszych elementów funkcjonowania aparatu przymusu w 1944 r. Założona w 1944 r. kartoteka ogólnoinformacyjna dała początek i podstawę tworzenia zasobu archiwalnego komunistycznej bezpieki. Początkowo zajmował się tym Departament I MBP, do 7 grudnia 1954 r., kiedy to rozwiązano MBP, a powołano Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Po kolejnej reorganizacji 28 listopada 1956 r. kompetencje tworzenia zadań przejęło MSW. 1 października 1956 r. utworzono Centralne Archiwum MSW, potocznie określane jako Biuro „C”, a w jednostkach terenowych — Wydział „C”. Dla czytelnika może być myląca nazwa „archiwum”, która kojarzy się z prostą, przejrzystą strukturą organizacyjną, obsługiwaną przez profesjonalnych pracowników. Tak powinno być, ale jeżeli chodzi o archiwa służb apa-

<sup>3</sup> Zob. Dekret o wymiarze kary dla faszystowsko–hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną, jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego z 31 VIII 1944 r. (DzU 1944, nr 4, poz. 16 oraz wersja zmodyfikowana: DzU 1946 nr 69, poz. 377).

<sup>4</sup> J. M. Waller, *Secret Empire. The KGB in Russia Today*, Boulder 1994; J. Sack, *An Eye for an Eye. The Untold Story of Jewish Revenge Against Germans in 1945*, New York 1993; J. S. Miggiel, *Frenzy and Ferocity. The Stalinist Judicial System in Poland 1944–1947, and the Search for Redress*, w: „The Cral Beck Papers in Russian & East European Studies” 1994, nr 1101, s. 1–48.

<sup>5</sup> B. Musial, *Deutsche Zivilverwaltung und Judenverfolgung im Generalgouvernement. Eine Fallstudie zum Distrikt Lublin 1939–1944*, Wiesbaden 1999; D. Pohl, *Nationalsozialistische Judenverfolgung in Ostgalizien 1941–1944. Organisation und Durchführung eines staatlichen Massenverbrechens*, München 1996.

ratu bezpieczeństwa, nie chodziło o zapewnienie maksymalnego dostępu do gromadzenia informacji, wręcz przeciwnie — o umożliwienie dostępu do zgromadzonych materiałów jedynie garstce wyselekcjonowanych i utrzymanie pełnej kontroli nad dopuszczonymi do niego pracownikami. Stąd też struktura organizacyjna archiwów oraz nazewnictwo było nietypowe.

Klasyczną kartoteką alfabetyczną była Centralna Kartoteka Ogólnoinformacyjna. Z kartoteki tej udzielano informacji wyłącznie na temat konkretnej osoby. Specyfiką układu na szczeblu centralnym Archiwum MSW był alfabet rosyjski oraz układ fonetyczny, dawało to pewność, że dana osoba, będąca w centrum zainteresowania operacyjnego, nie zostanie pominięta. Jeżeli osoba, którą interesowały się służby operacyjne aparatu terroru, miała dwa imiona lub dwuczłonowe nazwisko, to wypisywano wówczas tyle kart, ile było imion lub części nazwiska i umieszczano w odpowiednim miejscu kartoteki. Artykuły Moniki Komanieckiej ukazują problem archiwizacji osób określanych mianem „wrogiego elementu” z technicznego punktu widzenia. Już 27 marca 1945 r. ukazała się instrukcja „o prowadzeniu rejestracji przestępców przeciwko państwu”, która jasno określała sposób dokumentacji<sup>6</sup>.

Dane tworzyć miały arkusze informacyjne oraz tzw. arkusze kronikarskie, które opisywały wrogą działalność danej osoby. Kartoteka była jedną z form ewidencji operacyjnej zorganizowanej z chwilą powołania UB. Istniała Centralna Kartoteka Ogólnoinformacyjna (dalej: KOI) oraz kartoteki terenowe, tworzone przez WUBP. KOI była kartoteką ściśle tajną, która miała zawierać informacje sprawdzone, wykorzystywane do bieżącej pracy operacyjnej. Rejestracji osób do KOI dokonywano na podstawie karty rejestracyjnej E-14, która początkowo była dwustronna, a potem czterostronna. Aktem normatywnym określającym szczegółowe kategorie osób podlegających rejestracji w KOI była instrukcja MBP z 21 stycznia 1949 r., która wymieniała 25 kategorii osób, które podlegały rejestracji. Co ciekawe, w hierarchii uszeregowania na pierwszym miejscu znaleźli się członkowie nielegalnych partii i związków, na ostatnim dopiero przestępcy kryminalni. Integralną częścią KOI była kartoteka zagadnieniowa, którą utworzono ze względu na brak możliwości właściwego wykorzystania informacji zawartych w KOI i KWMO. Skorowidze zagadnieniowe obejmowały grupy osób i środowiska spośród figurujących w KOI i dzieliły się na działy<sup>7</sup>.

Od 1958 r. w celu łatwiejszego korzystania z kart skorowidza wprowadzono kolory kart: czerwone — dla osób rozpracowywanych, niebieskie — dla odbywających wyroki, zielone — dla zwolnionych z więzienia, białe — dla osób, na których materiały znajdują się w archiwum.

<sup>6</sup> IPN BU i AD 01225/30, Instrukcja o prowadzeniu rejestracji przestępców przeciwko państwu, 27 III 1945 r.

<sup>7</sup> I — Szpiegostwo, II — Nielegalne organizacje po wyzwoleniu, III — Udział w neohitlerowskich organizacjach rewizjonistycznych, IV — Dywersja, V — Szkodnictwo i sabotaż, VI — Zdrada Ojczyzny, VII — Rodzina i najbliższe otoczenie osób zbiegłych za granicę, VIII — Bandy terrorystyczno-rabunkowe, IX — Nielegalne posiadanie broni, X — Prawica w ruchu ludowym, XI — Dezercja z WP, z BP, XII — Wroga propaganda, XIII — Kler świecki i zakonny wszystkich wyznań wrogo występujących przeciwko władzy ludowej, XIV — Aktywni członkowie sekty Jehowy, XV — Kierowniczy aktyw organizacji kościelnych, XVI — Cudzoziemcy, XVII — Podejrzane kontakty z zagranicą, XVIIIa — Internowani do ZSRR lub skazani w ZSRR, XVIIIb — Kierowniczy aktyw reakcyjnych organizacji z okresu okupacji, XIX — Oficerowie wojskowych formacji polskiego rządu londyńskiego i oficerowie Polacy formacji wojskowych państw kapitalistycznych, XX — Współpraca z hitlerowskim okupantem, XXI — Organizacje hitlerowskie w czasie okupacji, XXII — Przestępcy wojenni, XXIII — Aparat państwowy do 1939 r., XXIV — Sanacyjny aparat wymiaru sprawiedliwości, XXV — Aktyw reakcyjnych partii i organizacji do 1939 r. z podziałem na organizacje (jak BBWR, OZN, SN, ONR, „Strzelec”, „Sokół”), XXVI — Kapitaliści, obszarnci, arystokracja rodowa.



Kolejny artykuł pióra Moniki Komanieckiej dotyczy zasad i procedur prowadzenia ewidencji. Głównym celem działalności UB–SB było kontrolowanie społeczeństwa, co umożliwiała praca operacyjna, czyli praca z agenturą, dzięki której UB–SB zdobywała informacje o ludziach, których działalność określano żargonem ubeckim „wroga działalność”, a następnie stosowanie metod represji wobec konkretnych osób lub całych środowisk. Do dokumentowania pracy operacyjnej służył rozbudowany system ewidencji operacyjnej poza kartotekami, używano dzienników korespondencyjnych, rejestracyjnych, archiwalnych, spisów zdawczo–odbiorczych i protokołów brakownia materiałów archiwalnych po to, aby szybko uzyskać sygnaturę akt archiwalnych jednych i drugich. Pomocnicze materiały ewidencji operacyjnej mogą być cennym źródłem historycznym dla badacza zajmującego się aparatem komunistycznego terroru.

Natomiast Ewa Zajac w artykule *Ślad pozostaje w aktach. Wybrane zagadnienia dotyczące funkcjonowania ewidencji operacyjnej w latach 1962–1989* (s. 281–300) pisze o wykorzystaniu wiedzy o ewidencji w pracy z materiałami operacyjnymi.

Wojciech Frazik i Filip Musiał w swoim artykule *Akta agenturalne w pracy historyka* (s. 301–330) koncentrują się na problemie prowadzenia dokumentacji związanej z osobowym źródłem informacji (OZI). Autorzy zwracają uwagę, że werbunek agentury odgrywał istotną rolę w działalności operacyjnej aparatu terroru.

Aparat terroru już od samego początku przywiązywał ogromną wagę do pozyskiwania agentury. Przyszłe kadry bezpieczeństwa były w tym celu szkolone w Kujbyszewie, w szkole NKWD, od kwietnia do lipca 1944 r., gdzie pod okiem instruktorów NKWD zdobywały wiedzę teoretyczną, którą stosowano w praktyce od pierwszych dni funkcjonowania UB. Akt normatywny regulujący tę problematykę pochodzi z lutego 1945 r. Instrukcja tymczasowa o pozyskaniu pracy i ewidencji agenturalno–informacyjnej sieci, która została opracowana przez pplk. Romana Romkowskiego, opierała się na radzieckim wzorcu i z niewielkimi modyfikacjami obowiązywała do końca istnienia SB. W początkowym okresie wprowadzono trzy kategorie współpracowników: rezydentów, agentów i informatorów. Podział na kategorie nie był stały, miał charakter płynny. Tajny współpracownik (dalej: tw) mógł być rezydentem lub informator agentem w zależności od potrzeb resortu i możliwości operacyjnych. W latach 50.–60. nastąpiła zmiana w terminologii. W 1957 r. termin „agent” został zastąpiony określeniem „tajny współpracownik” (tw). Oprócz tw do osobowych źródeł informacji zaliczano kontakt służbowy (ks) i kontakt operacyjny (ko). Pierwszy utrzymywany był na płaszczyźnie oficjalnej ze względu na eksploatowane stanowisko służbowe (np. rektorzy, dziękani), natomiast ko był formą pozyskiwania informacji od zwykłych obywateli, szczególnie na wstępnym etapie działań operacyjnych. W dalszej części pracy Autorzy szczegółowo omawiają budowę teczki personalnej agenta, teczkę pracy agenturalnej i agenturę więzienną. Z tekstu można wysnuć tezę, że powodzenie akcji rozpracowania zależało od relacji między oficerem prowadzącym a tw. Jeżeli oficer był słabo przygotowany, mierny w swojej pracy, to nawet gotowy do współpracy i zdolny tw nie mógł się wykazać żadną pracą. Z kolei dobry oficer mógł ze słabego agenta zrobić jednostkę wartościową. Akta agenturalne są swoistym kompendium wiedzy nie tylko o stanie wiedzy UB–SB o danym obiekcie, ale o zainteresowaniach operacyjnych, zamierzeniach podjętych przez aparat komunistycznego terroru.

Kolejne trzy artykuły składające się na treść recenzowanej książki to Krzysztofa Szwagryka *Struktura i dokumentacja komunistycznego aparatu represji II: prokuratura i sądownictwo wojskowe oraz powszechne więziennictwo. Krytyka źródeł* (s. 331–356), Ryszarda Śmietanki–Kruszelnickiego *Protokół przesłuchania jako źródło historyczne* (s. 357–366) i Wojciecha Fra-

zika *Sprawa spadochroniarzy — przyczynek do dyskusji i wiarygodności akt sądowych* (s. 367–378) ogniskują się na działalności wojskowego „wymiaru sprawiedliwości”.

Radosław Peterman w swoim tekście *Proces brakowania i niszczenia akt organów bezpieczeństwa państwa w latach 1954–1990 na przykładzie województwa łódzkiego* (s. 379–391) porusza problem zacierania śladów pracy funkcjonariuszy komunistycznego aparatu terroru. Autor skoncentrował się na mechanizmie niszczenia akt, które następowało w różnych okresach funkcjonowania aparatu terroru. Pierwszy etap brakowania nastąpił w 1954 r., kiedy wyszła na jaw sprawa ucieczki 5 XII 1953 r. płk. Józefa Światły — zastępcy dyrektora Departamentu X MBP. Próbowano w ten sposób tuszować wszystkie sprawy, które znał Światło. Kolejnym powodem do brakowania akt była „odwilż” 1956 r. i zmiany organizacyjne, jakie zachodziły w aparacie terroru. Wtedy to podjęto decyzję o zniszczeniu teczek tw z zespołu wyeliminowanych tw, teczek ewidencyjnych dotyczących osób, w stosunku do których brak jest materiałów obciążających z zespołu spraw operacyjnych. Kolejna fala niszczenia dokumentacji SB nastąpiła w 1982 r., tj. zaraz po zakończeniu tajnych działań w okresie stanu wojennego, np. już 19 grudnia 1982 r. kierownik sztabu MSW na mocy decyzji nr 07/82 nakazał zniszczyć wszystkie kopie dokumentów dotyczące stanu wojennego, znajdujące się w komendach powiatowych. Do największego procederu niszczenia akt doszło w okresie 1989–1990. Podstawą do niszczenia było zarządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych nr 049/85 z 8 lipca 1985 r. „w sprawie organizacji i zasad postępowania z materiałami archiwalnymi w resorcie spraw wewnętrznych”<sup>8</sup>.

W pierwszej kolejności niszczeniem objętoteczki ewidencji operacyjnej księży, którzy zmarli. Podstawą do tego typu selekcji niszczenia akt było pismo z 10 listopada 1988 r.: „niszczeniu podlegają tylkoteczki dotyczące nieżyjących księży, zaś dokumenty odnoszące się do duchownych przebywających za granicą należy traktować jako depozyt i nie powinny być niszczone”<sup>9</sup>.

Kolejną falę niszczenia dokumentacji SB podjęto w drugiej połowie 1989 r., która trwała do 31 stycznia 1991 r. Proces ten został zapoczątkowany pismem gen. Tadeusza Szczygła, który wysłał do wojewódzkich USW pismo informujące o uchyleniu przepisów regulujących działalność IV Departamentu MSW, który zajmował się rozpracowywaniem Kościoła katolickiego. Dawało to wolną rękę na niszczenie wszelkich dokumentów dotyczących zwalczania Kościoła katolickiego przez aparat terroru. W okresie 1989–1990 w województwie łódzkim z teczek wyeliminowanych tw zniszczono 13%, ze spraw operacyjnych — 17%, spraw śledczych — 39% i obiektowych — 2% (s. 387).

Recenzowaną pracę zamykają dodatki autorstwa Łukasza Kamińskiego *Lingua securitatis* (s. 393–398) i Andrzeja Paczkowskiego *Bardzo krótki słownik wywiadu* (s. 399–403). Praca Ł. Kamińskiego przedstawia słownik bezpieczeństwa, a opracowanie A. Paczkowskiego tłumaczy podstawowe pojęcia języka operacyjnego i żargonu UB–SB. Są to ważne i potrzebne załączniki, często bowiem wśród badaczy zajmujących się dziejami PRL spotykamy język bezpieczeństwa i żargonu (używanie terminologii esbeckiej). Znajomość i umiejętność posługiwania się językiem operacyjnym umożliwia sprawne i bezbłędne odczytywanie dokumentów UB–SB. Język operacyjny był precyzyjnym narzędziem stosowanym przez funkcjonariuszy SB, pozwalającym jednoznacznie opisywać rzeczywistość i stosowanie technik operacyjnych. Piszącym

<sup>8</sup> IPN BU i AD Łd 0050/86, WUSW w Łodzi, t. 3, k. 4 i nast., Zarządzenie nr 049/85 Ministra Spraw Wewnętrznych z 8 lipca 1985 r. w sprawie organizacji i zasad postępowania z materiałami archiwalnymi w resorcie spraw wewnętrznych.

<sup>9</sup> IPN BU i AD Łd 052/79, WUSW w Skierniewicach, t. 2, nlb., Pismo Naczelnika Wydziału I Biura „C” MSW J. Hamera z 10 XI 1988.

o dziejach UB-SB nastrożca wiele trudności. Zbyt często bowiem spotykamy się obecnie z przejmowaniem przez badaczy żargonu ubeckiego lub też opisowym tłumaczeniem jedno-wyrazowych określeń z języka SB, co zamiast ułatwić, utrudnia rozumienie tekstu. Często nie da się terminologii UB-SB zastąpić sformułowaniami języka współczesnego, ponieważ nie mają odpowiedników. Należy wtedy do tekstów traktujących o działaniach UB-SB wprowadzać określenia jasne i konkretne.

Jako postulat badawczy nad badaniem języka „polskiego” aparatu terroru widziałbym przygotowanie słownika „bezpieki”, w którym znalazłyby się terminy żargonu UB-SB z lat 1944-1989 oraz słownictwo używane przez pracowników Wojskowych Służb Informacyjnych, Wojskowej Służby Wewnętrznej i Służby Więziennej.

Reasumując, jest to książka ważna i potrzebna w naszej historiografii. Doświadczenia warsztatowe Autorów obcujących od lat z materiałami wytworzonymi przez komunistyczny aparat terroru pozwalają na postawienie tezy poważnie weryfikującej publicystyczne opinie na ten temat. Bardzo ważna jest konstatacja dotycząca holistycznego charakteru zasobu IPN, który podlega autoweryfikacji. Potwierdza to m.in. opis funkcjonowania ewidencji operacyjnej, etapów rejestracji OZI, wzorcowej zawartości teczek pracy i personalnych. Przydatne w lekturze i ciekawe jest zamieszczenie słownika żargonu aparatu bezpieczeństwa. Jest to publikacja bezcenna dla każdego, kto chciałby zabrać głos w dyskusji o „teczkach”, w tym młodych adeptów historii, którzy chcą podjąć badania nad dziejami aparatu komunistycznego terroru.

Wiesław Charczuk  
Siedlce